Nr. 24. Warszawa, dnia 31 Maja (12 Czerwca) 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“ (wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.

Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Szan. Abonentów półrocznych i kwartalnych prosimy o odnowienie przedpłaty.

POLITYKA.

SEJMOWANIE W EUROPIE.

Karczemność dziesięciodniowa obrad wiedeńskiej Izby deputowanych przewyższyła o wiele burzliwe sceny, w żywej jeszcze będące pamięci, jakiemi zapisała się była w kronikach politycznych działalność Izby francuskiej podczas bulanżerówki i Panamy, albo angielskich Gmin przy uchwalaniu bilu, powściągającego przestępstwa agrarne w Irlandyi. Koalicye sejmowe w Niemczech i Prusiech za Bismarcka, zsypujące na jedną kupę najrozmaitsze zasady, przekonania i ideały, przeciw rządowi lub za rządem, naśladując dawniejsze wzory angielskie, obudziły niewiarę w etykę polityczną parlamentaryzmu. Maczanie rąk w błocie spekulacyi, jakiego dopuścili się parlamentaryusze wyżsi i niżsi, senatorowie i deputowani we Francyi i Włoszech, nie pozwoliło wierzyć już choćby tylko w człowieczą, chociażby nawet w kodeksową tylko uczciwość mężów, powołanych do przewodniczenia narodom. Na całą instytucyę, z której dwadzieścia lat temu jeszcze dumną była cywilizacya europejska i wiek XIX, spadł czarny sęp krytyki. Najdzielniejsze nawet umysły zachwiały się: zali wielką byłoby dla ludzkości szkodą zniesienie urządzeń, składających się na pojęcie systematu parlamentarnego.

Wsteczniotwo w Europie tryumfowało: „Patrzcie, do czego prowadzi parlamentaryzm.“ Najśmielsi zacierali już ręce w nadziei reakcyi. Arystokracya i plutokracya potrzebowały tylko przywdziać zbroję, aby w pole wyruszyć. Filister chętnie byłby z pod każdego stopnia szerokości i długości geograficznej pociągnął na pospolite ruszenie, gdyby mu tylko poręczono niepodwyższanie podatków i społeczny parasol od deszczu i upału. Doktrynerzy uniwersyteccy gotowi byli każdej chwili poprzeć wywody biurokratów: toż nikt nie zliczy tych nietoperzy, które już dotąd rozleciały się po świecie z katedr uniwersyteckich. Potrzeba było tylko silnej pobudki od samych rządów zachodnich, aby przeprowadzić w życiu zasadę, że najlepszym sposobem wyleczenia chorego jest ucięcie mu głowy. Powściągliwość tych rządów, lękających się rządzenia bez parlamentów, zostawiła i strwożonym i uradowanym czas do ochłonięcia z wrażeń. Poznano, że żadna na świecie instytucya idealnego powołania swego w realnym byciu świata spełnić nie zdoła bez odpowiednich ludzi. Przekonano się, że nie nadmiar zamglonem okiem zrazu w parlamentaryzmie dostrzeżony, ale wprost przeciwnie niedomiar sił dla parlamentaryzmu, jako funkcyi państwowej niezbędnych, jest złego przyczyną. Dostrzeżono także na żywych przykładach, iż wolność słowa w sejmach musi stać, jak wszystko na świecie, pod prawem, jeśli nie ma się zamienić w bezprawie, i że to tylko, co w karby porządku ujęte, porządną też wydawać może z siebie działalność. Bez brzegów krępujących potoki nie byłoby rzek.

Ale i przy najsilniejszych nawet tamach i groblach nadużywanie wolności słowa i praw poselskich, gwałcenie elementarnych obowiązków, będzie w najwyższych radach narodowych nieuniknione, konieczne, jak każde zjawisko przyrody. Zawiele jeszcze jest namiętności i interesów, zawiele pierwotnej natury w umysłowości ludzkiej, zawiele egoizmu pod rozmaitemi, do złudzenia miłość rzeczy publicznej naśladującemi formami, zawiele wreszcie przeciwieństw i sprzeczności w życiu wspólnem: a za mało idei i ideałów i czystej dla nich czci, zamało ludzi i obywateli, aby największa nawet przezorność i bystrość człowiecza mogła zatamować zło. Człowiek dzisiejszy jest jeszcze straszliwie surowym, niewyrobionym, nieuszlachetnionym przez logiczną i etyczną nad sobą pracę. Objawy ujemne zatem być muszą i będą: niechaj je tylko przewidujący rozsądek na wodzy trzyma, niech nie pozwala nierozumowi pastwić się nad rozsądkiem, namiętności ślepej nad jasnem rozeznaniem, bezrządowi nad porządkiem. Pętać samolubstwo i głupotę, umysły z ruchu odśrodkowego wytrącać — jest zadaniem prawodawcy. Niepodobna równouprawniać tego, co służy sprawie publicznej, z tem, co ją rozrywa i burzy. Konstytucye powołują do owych najwyższych rad narodowych umysły *in abstracto*; wyborcy posyłają do nich całe zastępy istot samolubnie namiętnych, ułomnych, ograniczonych, nieokrzesanych lub zepsutych. Kogóż tu winić: wyborców, czy konstytucye?

Dobry prezydent Izby, dobry regulamin, ustanawiający formalną władzę wszystkich nad jednym, mogą przyczyniać się do usuwania nieporządków, hałasów, obstrukcyonizmów i bójek; mogą ostudzać całą tę ludową, elementarną jeszcze zapalczywość, zbyt często występującą w zgromadzeniach, za kwiat narodu uważanych: wielką wszakże powściągliwość zachować musi prawodawca, aby nie uświęcić despotyzmu większości nad mniejszością. Nie są to przecież trudności nieprzełamane; trudniej będzie zawsze obmyślić umysłowy i moralny strychulec dla ludzi, powoływanych do sejmu. Tylko stronnictwa skrajne wybierają świadomie; w umiarkowanych zwycięża ten, kto

umiał wśliznąć się w łaski ludzi, robiących wybory. Wyborcy nie znają swego przedstawiciela, przedstawiciel oszukuje swych wyborców; pod ograniczonym widnokręgiem umysłowym parafia zlewa się z państwem, polityka gminy z polityką świata, interes drobno-ziarenkowy z wielkiemi sprawami i zadaniami powszechności narodowej. Wychodzą też z wyborów nie najlepsi i najrozumniejsi, ale najszczęśliwsi i najśmielsi, najzuchwalsi. Ich umysłową i moralną wartość ma dopiero wykazać ich działalność w sejmie, oparta właśnie na domniemaniu pewnego duchowego arystokratyzmu w wybranych. Nie wychodzi się już z błędnego koła, gdy się raz weszło w tę krainę mroków. Dla dobrych sejmów potrzeba dobrych ludzi, a tych dobrych jest tak mało, tak rozpaczliwie mało, że świat długie wieki jeszcze czekaćby musiał, gdyby chciał tworzyć dzieła doskonałego artyzmu. Radykalnym środkiem może być tylko podniesienie skali człowieczeństwa i obywatelstwa, przez postęp w moralnej i umysłowej cywilizacyi. Dobry sejm musi poprzedzić dobra szkoła. Wprowadzić wychowanie polityczne, całkiem zaniedbane, ulepszyć oświatę i naukę już udzielaną, opisać wolność jak najlepszemi prawami — to obowiązek, ale wszystko to jeszcze nie wystarczy. Nie od praw i instytucyj, ale od ludzi tylko wyglądać można rzetelnej poprawy. Z którejkolwiek strony spojrzymy na świat, wszędzie dostrzegamy brak człowieka, tego wewnętrznego człowieka, w istocie człowieczej tylko złożonego, ale przez elementarną sofistykę ciągle z nią utożsamianego. Przyszłość szczęśliwszą będzie; ale teraźniejszości nie wolno się praw swych wyrzekać.

Tydzień polityczny. „Mocarstwa porozumiały się już co do konieczności przyznania Turcyi pięciu milionów funtów tytułem kosztów wojennych i zgadzają się na większe ustępstwa terytoryalne przy strategicznem prostowaniu granicy.“ Taki jest ostatni buletyn dyplomatyczny. Turcya przeto nie wychodzi z łask, ale niejednakowo ich od różnych mocarstw doznaje. Z Berlina zapewniają, że nadmiernych żądań Turcyi nikt nie uwzględni, miary przecież tej nadmierności nie podają. W „koncercie“ podobno znowu odzywają się fałszywe tony: koncertanci mimo to rzną dalej. Są już z ich trudów owoce. Nareszcie teraz, d. 4 b. m., w trzy tygodnie po zaprzestaniu walki spisano rozejm na lądzie i na morzu. Sułtan przyrzeka królowej Wiktoryi na 60-letni jubileusz (20 czerwca) podarunek z pokoju. Turcy nie przestają wciąż się posuwać; Grecy trzymają się w stylu: grożą, że nie pozwolą. Na Krecie armia admirałów, z kilku kompanij złożona, zajmuje wnętrze kraju, aby zapobiedz zajęciu przez Turków, rozmachanych zwycięztwem. Powstańcy „wybierają“ komisarzy do układów z admirałami. Wojska greckiego wcale już niema na wyspie. Statut i gubernator są wciąż jeszcze muzyką przyszłości. Gubernatorstwo ma się teraz dostać Belgowi lub Holendrowi. Widać, że Franciszek Józef Battenberski nie był *persona grata*.

Po zamknięciu wiedeńskiej Rady państwa (d. 2 b. m.) wrzawę — nie bez podstawy prawnej — wywołuje aż do tej chwili zupełne milczenie organu urzędowego o tym fakcie. Dopóki *Wiener Ztng* milczy, policya może nie pozwalać na zebrania pod gołem niebem w Wiedniu i wielokilometrowym promieniu; ale musi szanować nietykalność poselską. Na zgodę jeszcze się myszy nie gonią. Pewna część Niemców chce podzielić Czechy i Morawy na okręgi czysto niemieckie, czysto czeskie i mieszane: w pierwszych język niemiecki, w drugich czeski, w ostatnich oba mają obowiązywać i urzędy i przychodzących do nich. P. Badeni wrzekomo skłania się do ponownej interpretacyi rozporządzeń z d. 5 kwietnia r. b. Czesi zastrzegają zgóry, że sobie już nie dadzą rozporządzenia wydrzeć, chyba rząd z przyjaciół chce mieć wrogów.

P. Faure w lipcu jedzie do Rosyi — morzem.

D. 5. b. m. sądny dzień był we francuskiej Izbie deputowanych. Socyalistę Gerault-Richard Izba skazała na 30-dniowe usunięcie od obrad za nazwanie przeciwników *mouchardami*. Musiała go siła zbrojna z Izby wyprowadzić. Niewiele było takich wypadków w dziejach sejmowania francuskiego.

Cesarz Wilhelm wybiera się w odwiedziny do Petersburga. Proces Tauscha i Lutzowa skończył się uniewinnieniem wstrętnego policyanta, bankietem wyprawionym mu w poblizkiej winiarni i wyjazdem jego ofiary, p. Marschalla. Cesarza bezprawia policyjne dotknęły; chce on tak zwaną *polityczną* policyę przetworzyć. Nawet *Nat. Ztng* radzi ją zupełnie znieść. W państwach konstytucyjnych jedno z dwojga: albo taka policya, albo też sama konstytucya anomalią być musi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Pomnik Mickiewicza.

Cały naród znosi ofiary geniuszowi, ażeby stworzyć zbiorowy znak widomy tej czci i miłości dla wieszcza, ażeby przekazać te uczucia przyszłym pokoleniom, utrzymać w nich kult dla wielkiego umysłu i wielkiego serca. Cały naród odrywa swą uwagę od powszednich spraw życia. Za te kryształowe zdroje myśli i uniesień, w których się kąpią dusze, otrząsają z pyłów codziennych i „unoszą nad poziomy,“ wyraża swą wdzięczność. Za tę wielką miłość i te niezmierne cierpienia jego, które zgromadził w sobie z milionów, uderzyły żywiej miliony serc. Cały więc naród ma prawo do tego dzieła, na które się składa, cały naród powinien wiedzieć, jak ono będzie pokierowane. Oprócz ofiar pieniężnych, niejedna powinna przybyć ofiara w postaci rad dobrych i wskazówek. Tymczasem cały ten naród, a przynajmniej jego cząstka najinteligentniejsza, nie dotąd nie wie, w jaki sposób będzie pomnik wykonany, bo komitet milczy i działa w ścisłej tajemnicy. Milczy także i prasa. Jeden tylko *Kuryer Codzienny* zabrał głos w tej sprawie.

Komitetowi nie myślimy narzucać swego zdania, pozostawimy sąd własny do chwili, kiedy już rezultaty swych starań wykaże całkowicie. Uważamy jednak za stosowne i potrzebne wyrazić nietylko nasz własny pogląd na sprawę pomnika, ale i życzenia kół ludzi inteligentnych, które do nas bezpośrednio lub pośrednio doszły.

Składki płyną obficie i nieustannie; w tej chwili fundusz zebrany dosięga pra-

6)

W. DOROSZEWICZ.

Na Sachalin.

Aden.

Aden natura stworzyła zaraz po Indyach.

Po zużyciu farb pozostały na jej palecie dwie: czarna i biała. Z tych dwu barw stworzony jest Aden. Czarne góry i białe jak z kredy domy. Czarne twarze Arabów i białe płachty, w które oni się stroją.

Oto żałobny obraz tych złowróżbnych, ponurych i spalonych słońcem brzegów, pozbawionych roślinności.

Przybyliśmy do Adenu późno wieczorem i stanęliśmy w pobliżu masztu parowca zatopionego.

Koło belki poprzecznej masztu migotało światełko, jak lampy przy krzyżu mogilnym.

Na spuszczonych schodach okrętowych krzyczeli, śpiewali i uderzali w takt dłońmi i podrygiwali ludzie nadzy o długich rozwianych włosach rudych.

Włosy rude — to szczególny szyk śród tych ludzi, specyalnie smarują sobie głowy wapnem.

Wstąpiłem na mały statek i znalazłem się w towarzystwie czterech czarnych, brudnych tubylców.

Dął wiatr silny, statek kołysał się na falach, kładł się to na jeden, to na drugi bok. Ludzie wołali swoim głosem gardlanym: a gdy otwierali piec, z którego wydobywało się jaskrawe światło czerwone, byli podobni do dyabłów, wiozących dusze po burzliwych falach Styksu.

— Niedobre morze, sir!—rzekł do mnie obrzydliwą gwarą angielską brudny dyabeł, siedzący u rudla — wstrętne morze tutaj!

Masa rekinów. Dawniej tykały one tylko białych. Ale teraz przyszły nowe, prążkowane; nazywamy je „tygrysami morskimi“; jedzą one i czarnych. W ubiegłym tygodniu zjadły jednego z tubylców.

Piękna rozmowa wtedy, gdy statek leży bokiem na falach!

* * *

Stałem jakby na szczycie olbrzymiego cyrku, wykutego w górze kamiennej, stopniami staczającego się ku ogromnej arenie. Po bokach dwie czeluście ciemnych korytarzy — jakby dla zwierząt dzikich.

Te sławne cysterny adeńskie mogły służyć wybornie za futerały dla piramid, przewróconych podstawą do góry. Takich cystern jest kilka. Połączone między sobą korytarzami, wykutymi w górach skalistych.

Raz na pięć lat są one napełniane wodą po same brzegi.

Ulewy podzwrotnikowe tworzą masę wody, która stacza się z gór po łożyskach, schodach, olbrzymich tunelach, z szumem i rykiem zlewa się tam. I wtedy z cystern tworzą się ogromne jeziora, napełnione kryształowo-czystą wodą deszczową.

Teraz jest oczekiwany deszcz z dnia na dzień; cysterny zupełnie suche.

Jeżeli zapytamy Araba, kto stworzył to dzieło wspaniałe, odpowie nam:

Mehmed-Ali.

Mehmed-Ali stworzył wszystko.

— Czyś widział, sir, okno w przylądku adeńskim?

Jest to figiel przyrody: zupełnie okrągły otwór na cyplu. Gdy niebo jest zabarwione jaskrawą purpurą słońca zachodzącego, okienko to wygląda jak oko jakiegoś dziwadła, krwią nalane.

— No, cóż to jest?

— To okienko wyrąbał także Mehmed-Ali, ażeby wrogów śledzić.

Wszystko, co jest olbrzymie i wspaniałe, stworzył wielki Mehmed-Ali.

Za jego czasów świat należał do czarnych, a gdy umarł Mehmed-Ali, przyszli Anglicy i zagarnęli go w swoje ręce.

Oto i całe opowiadanie Arabów.

W rzeczywistości te olbrzymie cysterny sięgają czasów dawniejszych.

Kiedy armia Aleksandra Macedońskiego rozdzieliła się, część jej, dostawszy się

wie stu tysięcy rubli. Otóż z obmyśleniem i zadecydowaniem formy pomnika należałoby się zatrzymać, dopóki środki nie będą w przybliżeniu wiadome. Krępować ofiarności publicznej nie wolno; należy unikać pośpiechu i czekać, aż się zbierze fundusz możliwie największy. Cały naród chce wystawić pomnik swojemu poecie, a więc pośpiech krzywdą byłby dla tych, którzy w krótkim czasie nie mogli się przyczynić do powiększenia środków. Krzywdą byłoby i dla wielkiego poety poprzestawanie na małem, gdy może być dużo. Przeciwnie, należy ogół pobudzać do udziału jak najliczniejszego, a dopiero gdy napływ składek zacznie słabnąć widocznie, można będzie zamknąć kasę i wziąć się do dzieła. Ponieważ fundusz prawdopodobnie dosięgnie dwustu tysięcy, można więc będzie wznieść monument wspaniały.

Wspaniałym on być powinien, bo tu nie chodzi o skromną pamiątkę; na to wystarczyłby prosty kopiec. Pomniki wielkich ludzi, których duch unosi się, żyje w społeczeństwie, jest najszlachetniejszą podnietą jego pierwiastków dobrych, to nie ozdoba miast i placów, to nie szczegół estetyki, lecz widomy znak ich mocy intelektualnej, przybranej w kształty, zakutej i uwiecznionej w kamieniu lub metalu. Do wyobraźni i serca tłumów przemawia nie idea oderwana, niepochwytna, lecz siła upostaciowania w kształtach realnych. Upostaciowanie takiej siły wielkiego poety, odrywającego dusze z nizin, napełniającego je najszlachetniejszymi pierwiastkami egzystencyi nie fizycznej, powinno być dziełem natchnienia i zarazem monumentem wspaniałym pod każdym względem. Potrzeba, żeby każdy, nawet najprostszy umysł odczuwał w tej wielkości i wspaniałości ogrom ducha wieszcza, żeby w tej, że tak powiemy materyalizacyi jego, uzmysłowieniu za pomocą niezwykłego pomysłu, dłuta i młotka widział siłę geniuszu i serca, żeby z tej siły, jako źródła odżywczego, czerpał moc uszlachetniającą i podnoszącą jego własne istnienie duchowe. Pomniki są niejako kartami księgi, z których naród uczy się poglądowo swojej chwały, a obcy — jego zasług i siły.

Mówią u nas o „najwspanialszym pomniku — w sercach“; mówią ci, których serca dobrze opancerzone przed wszelkimi bodźcami natury szlachetniejszej, a usta sieją tanie frazesy, bo niepochodzące z uczuć głębszych. Najwspanialszy pomnik w sercach może być tylko u nielicznych jednostek inteligencyi, wrażliwych na piękno myśli podniosłych i genialny sposób ich wypowiadania. Dla mas potrzebny jest pomnik realny, rzeczywisty. Umiejętne, poważne wykonanie tego dzieła może być nietylko chlubą społeczeństwa, ale i wysokiem jego zadowoleniem moralnem; może być zaspokojeniem w pewnej mierze jego porywów i potrzeb wyższych.

To też tysięcy, a nawet setek tysięcy rubli, zebranych z ofiar publicznych, nie uważajmy za dzieło dokonane, lecz zaledwie zaczęte. Pozostaje najważniejsze: stworzenie i wzniesienie pomnika. Wszelka niedokładność, wszelki błąd może być ciężkim grzechem, za który powinni się czuć mocno odpowiedzialnymi wobec społeczeństwa wykonawcy. Takie jednak błędy i niedokładności są nieuniknione tam, gdzie za warunek główny jest uważany pośpiech, przy którym można nie wykonać, lecz *zbyć* pomnik; a takiemu zbywaniu sprawy może i powinno postawić *veto* społeczeństwo. Powinno ono, a przynajmniej jego część światła, zapobiegać temu, coby uwłaczało duchowi wielkiego poety, coby zniżało pragnienia ogółu. Wszelkie pokątne układy z jednym upatrzonym artystą-rzeźbiarzem, byłoby tylko przyjęte ciężkie zadanie zdjąć z siebie jak najprędzej, może wywołać najsmutniejsze następstwa.

Zobowiązanie się do wykończenia pomnika na jesień roku przyszłego dałoby ogółowi zasadny powód nieufności do gospodarzów i wykonawców. Rzetelnemu artyście sumienie nakazuje powiedzieć, że na spełnienie tak wielkiego dzieła potrzeba najmniej trzech lat. Rozważni zaś kierownicy sprawy powinni wiedzieć, że zupełnie prywatny wybór wykonawcy, według uznania jednej czy dwu osób, byłby krokiem bardzo ryzykownym, że nie powiemy — zuchwałym; nadużyciem zaufania całego ogółu, który oczekuje czegoś wielkiego i niepospolitego. Z tych zatem względów powinien być konkurs ograniczony, do którego należałoby wezwać nawet artystów zagranicznych. Wiemy, że ta myśl wywoła oburzenie, że będą tacy, którzy nazwą udział cudzoziemców profanacyą sprawy. Kto jednak rozumniej i głębiej tę rzecz weźmie, ten musi się zgodzić, że piękny pomysł obcokrajowca byłby mniejszą profanacyą, niż nieudolność i partactwo rodzime. Nie chcemy przez to twierdzić, że nie mamy własnych artystów rzeźbiarzy, którzy potrafiliby stworzyć wspaniały monument poety. Owszem, może niespożyty, wielki duch wieszcza da im prawdziwe natchnienie.

LISTY PETERSBURSKIE.

8 czerwca.

Peterb. Wiedom. o Mickiewiczu. — Czy był rewolucyonistą? — Zwrot ku szlachetczyznie. — Rola szlachty w bycie politycznym i społecznym z dostrzegalni publicystów. — Zjazdy szlacheckie i alarm *Mosk. Wiedom.* — Korespondenci pism rosyjskich. — „Kilka słów o Polsce.“

Niedawno korespondent warszawski *Peterb. Wiedomosti* żywo się zajął nastrojem ducha Polaków w Królestwie Polskiem; między innemi zaś poświęcił garść uwag sprawie pomnika dla Mickiewicza: „Polakom pozwolono wznieść w Warszawie pomnik Adamowi Mickiewiczowi. I dzięki Bogu. Tym rozumnym czynem rząd dowiódł, że są mu zrozumiałe uczucia polskich poddanych Cesarza Rosyjskiego, którzy chcą uczcić

---

do Arabii, umierała z pragnienia; ale dotarłszy do Adenu, zaopatrzyła się, według historyków, w wodę z cysterny.

To olbrzymie dzieło mogło być wykonane tylko rękami niewolników.

Według drugiego podania miejscowego, wyrąbał je jeden z Faraonów, zdobywców Arabii, rękami Żydów, tych samych, którzy zbudowali piramidy.

I dziwić się trzeba, dlaczego Aden nie jest czarą kwitnącą.

Grunt jego powinien być użyźniony dziesiątkami tysięcy trupów ludzi, którzy wyrąbywali w skałach amfiteatry, areny i tunele.

Jakim sposobem udało się stworzyć to olbrzymie dzieło? Jakimi środkami zdołano wyrąbać lub wysadzić taką masę kamienia? Jak odprowadzano wody deszczowe podczas robót?

Tajemnica ta pogrzebana hen—tam, na arenie tych cyrków kolosalnych.

Dziesięć lat robiono cysterny i gdy już wszystko było skończone, Faraon stanął ze swojem wojskiem i wziętymi w niewolę robotnikami przy cysternach do trzeciego okresu deszczów.

A gdy już chmury pokryły niebo, on kazał wszystkich budowniczych niewolników spędzić w dół do cystern i otoczyć u góry dokoła wojskiem, ażeby nikt się nie wydostał. I wtedy to dano wspaniałe przedstawienie cyrkowe, w porównaniu z którem igrzyska cyrkowe Nerona — to domowe przedstawienie amatorskie.

Zaryczały potoki wód deszczowych w górach. Coraz bliżej i bliżej. Kaskady podziemne z pianą potoczyły się po stopniach, przez tunele i zalały areny.

W ich szumie, huku i ryku tonęły krzyki, jęki i płacze ginących.

Ludzie wdrapywali się na stopnie olbrzymich cyrków, ale i tam woda ich dosięgała. Rosła coraz wyżej, a Faraon rozkoszował się nie jakąś parodyą pożaru marnej Troi, lecz urywkiem z obrazu potopu powszechnego.

A gdy cysterny napełniły się wodą, cała powierzchnia była pokrytą ciałami topielców.

Ci, którzy ocaleli, pływali na trupach, dostawali się na brzeg; ale tam ich zabijali żołnierze egipscy.

Nikt nie ocalał.

Tajemnicę budowy wielkiego dzieła pogrzebano.

I gdy cisza grobowa zamieniła symfonię szumu wody i płaczu tonących, Faraon kazał spuścić cysterny w morze i woda poniosła trupy w przestworza oceanowe.

Było to święto dla rekinów.

Oto, dlaczego one tak lubią brzegi Adenu! — tłómaczą Arabi.

A gdy pójdziemy przez góry, droga nas poprowadzi przez szczelinę wązką, wyrąbaną w skale.

Na wierzchu przerzucony lekki, okrągły most kamienny.

To arka tryumfalna Faraona, jedyne piętno jaskrawe śród czarnego i białego koloru Adenu.

Przyroda zostawiła sobie niewiele na palecie farby jaskrawo-czerwonej; pomalowała nią skałę przeciętą.

Te ściany wąwozu jak gdyby krwią oblane.

To różowa, to jaskrawo - purpurowa, zdaje się ściekać po ścianach skalistych; tu zakrzepła w jaskrawem piętnie ogromnem, tu cieknie strugą krętą.

To krew tych niewolników, którzy nie chcieli budować cysterny. Strącono ich ze skał — objaśniają Arabi.

Tancerki wschodnie.

Arab w długiej, białej kapocie stanął we drzwiach mojego numeru cicho, przyłożył rękę do turbanu i oddał ukłon głęboki.

— Wszystko gotowe, sir. Powóz czeka. Woźnica wie, dokąd ma jechać. Około północy pan tam będzie.

Pojechałem. Koń malutki, ledwo dosięgający wzrostem kół powozu, biegł przez cały czas wcwał.

Negr woźnica, chudy, owinięty w białą opończę, siedział skurczony bokiem, wyglądał jak widmo, które usiadło po drodze, ażeby dojechać do cmentarza.

pamięć największego ze swoich poetów. Przyszły pomnik wzbudza atoli obawy, których ja nie podzielam. Pewni moi towarzysze po piórze utrzymują nawet, że nie należałoby pozwalać na wzniesienie pomnika, u którego podnóża Polacy w razie zamieszek mogą urządzać wrogie dla Rosyi demonstracye. Rozumując w ten sposób, możnaby przyjść do przekonania, że w Warszawie należy zabronić także wznoszenia domów, gdyż z domu Zamojskiego rzucono bombę na hr. Berga."

„Jeżeli przypuszczamy, że pomnik będzie wzniesiony jedynie dla urządzania manifestacyj, to czemuż nie przypuścimy, że domy są budowane dla rzucania bomb i ukrywania członków rządu narodowego? W r. 1861—1863 pomnika dla Mickiewicza nie było, demonstracye jednak urządzono; a więc istota rzeczy tkwi nie w pomniku, lecz w nastroju ludności, który się rodzi pod wpływem wielu poważnych przyczyn. Dodajmy, że imię Mickiewicza nigdy nie było dla Polaków hasłem rewolucyjnem, jak imiona Kościuszki, Kilińskiego, Głowackiego i nawet Lelewela; w poezyach zaś Mickiewicza mniej jest ducha rewolucyjnego, niż w utworach Słowackiego. Mickiewicz nie był zawziętym wrogiem Rosyi i Rosyan, chociaż ulegał wpływowi sfery otaczającej. Zajmując katedrę literatur słowiańskich w Collège de France (1840—1842), nie ujawniał w swych wykładach ciasnoty patryotyzmu polskiego, ale oddawał co się należało i geniuszowi rosyjskiemu, czem nawet ściągnął na siebie surowe napaści ze strony tak zwanej polskiej prasy emigracyjnej. W r. 1841 np. literat Ostrowski, dowiedziawszy się, że miejscowe Towarzystwo literackie zamierza poruczyć Mickiewiczowi napisanie biografii zmarłego wówczas Niemcewicza, powiedział między innemi: „Komuż to polecono opisywać zasługi Niemcewicza? Panu Adamowi Mickiewiczowi, który rolę przewodnictwa w Słowiańszczyźnie przyznał Moskwie, a Cesarza nazwał ojcem narodów, tj. ojcem Polaków!"

„Prasa emigracyjna wszystkich odcieni, nie wyłączając i konserwatywnej, nazywała Mickiewicza zdrajcą sprawy narodowej. Wszelkie pociski i insynuacye, spadające na głowę poety, jak z rogu obfitości, świadczą, że Mickiewicz nie nosił w sobie takiej masy szowinizmu, która mogłaby zadowalać ówczesne otoczenie jego, chorobliwie nastrojone, chociaż nie był i rusofilem. Wznosząc pomnik Mickiewiczowi, społeczeństwo polskie składa tym sposobem świadectwo miłości i uznania nie rewolucyoniście *par excellence*, którym Mickiewicz nie był, lecz największemu ze swoich poetów, którego imię nie było i nie będzie hasłem buntowniczem."

W jednym z poprzednich artykułów zwracaliśmy uwagę na znamienny zwrot ku szlachetczyźnie. Obecnie ten zwrot coraz silniej się zaznacza, a prasa coraz żywiej zajmuje się szlachtą, jej sprawami i znaczeniem w społeczeństwie. Między innemi *St. Pet. Wied.* poświęciły ponownie obszerny artykuł tej kwestyi, który ze względu na swój charakter godzien jest zaznaczenia. Autor twierdzi, że kwestya szlachecka w Rosyi nie jest wązkoklasową, lecz posiada olbrzymie znaczenie państwowe, że w przyszłości rola szlachty nie zmniejszy się, że ta warstwa ludzi nie rozpłynie się w innych, jak twierdził inny autor w tem piśmie.

Oto są motywy: Na Zachodzie wola większości jest uważana za *ultima ratio* w rozstrzyganiu wszelkich spraw społecznych. Większość bowiem zawsze jest lekkomyślna, rutyniczna i zarazem zmienna. Złożona jest z ludzi przeważnie tuzinkowych, miernych, nie posiada więc siły na przyjęcie idei mędrców, uczonych i artystów, przerastających o wiele poziom warunków burżuazyjnych i rutyny. „Znane szlacheckie *veto* w Polsce, chociaż było głupiem, szkodliwem i lekceważonem wobec ustroju władzy państwowej na Zachodzie Europy, jednak wyraźnie ono stwierdza, że gwałtowny ucisk woli współplemieńców nie jest w duchu Słowian..." Jeżeli Rosya w swoim rozwoju pójdzie własną drogą, inną, niż na Zachodzie, to dlaczegóżby ustrój klasowy nie mógł się utrzymać bardzo długo, jeżeli nie na zawsze i dlaczego na czele wszystkich klas nie miałaby stanąć szlachta? Co więcej — pisze autor — nie rozumiałbym Rosyi bez szlachty: i samowładztwo i kastowość łączą się z konieczności, uzupełniają się wzajemnie i tworzą jedyną całość zgodną. Rewolucya, jak wiadomo, głosi swobodę, równość i braterstwo; ale istotna swoboda o tyle się objawia, o ile nie krępuje innych i w każdym razie nie łączy się ze ślepą nieubłaganą tyranią większości. Istotna równość tkwi nie w tem, ażeby wszystkim, od chwili urodzenia, przyznano prawa jednakowe, zajęcie i stan materyalny. Taki strychulec zabiłby w ludziach wszelkie dążności ducha inicyatywy, osłabiłby siły umysłowe. Czy byłoby sprawiedliwem, człowieka zdolnego do najsubtelniejszej pracy umysłowej, zaprządz do ciosania kamieni?"

W tych wywodach autora, na których on opiera racyę bytu i rolę przewodniczącą szlachectwa, przebija się zupełna niewiadomość, brak elementarnych pojęć o istotnych dążeniach zwolenników i wyznawców „równości." Ale idźmy dalej za wywodami jego: „Doświadczenie dowiodło, że głównem złem wszystkich monarchij nieograniczonych była zawsze administracya, która swoją chciwością i nadużyciami osłabiała cały ustrój społeczny państwa." Klasa urzędnicza w Rosyi, zdaniem autora, nie posiada tych cech. Wogóle nie jest ona gorsza od jakichkolwiek innych warstw urzędniczych na Zachodzie Europy i dlatego jest czynnikiem cywilizacyjnym na ziemiach azyatyckich.

„Jakimże sposobem udało się uniknąć zupełnej demoralizacyi urzędników?" — Oto tym sposobem, że rząd nigdy się nie opierał wyłącznie na urzędnikach. Przeciwnie — odgrywali oni rolę drugorzędną, przytem pod kontrolą potężnej kasty, która wydała z siebie wszystkich wybitnych członków biurokratyzmu lub przyjmowała ich do swojej sfery. „W rzeczywistości główną i prawdziwą służbę w państwie — na miejscach, w armii oraz sądzie, pełnili nawet nie urzędnicy, pochodzący z kasty szlacheckiej, ale cały stan szlachecki *in corpore*. Proszę przypomnieć rolę szlachcica-obywatela, rządzącego ludem, szlachcica-oficera, służącego lat kilka nie dla karyery, lecz honoru; szlachcica-przewodniczącego w instytucyach rządowych przed reformą, a następnie szlachcica sędziego pokoju; proszę przypomnieć szlachtę przewodniczącą, kapitanów-isprawników, stanowych prystawów; proszę przypomnieć rolę szlachty w r. 1812 i w epoce oswobodzenia włościan — i oto będzie zupełnie jasne, dlaczego biurokracya nigdy nie mogła zapuścić u nas głębokich korzeni, stworzyć coś podobnego do kasty, cechu lub chociaż ścisłego związku ludzi, połączonych wspólnymi interesami."

Droga moja prowadziła brzegiem kamienistym, o który z szumem uderzały fale przypływu, po górach, oblanych jaskrawem światłem księżyca, śród skał, które wyglądały jak olbrzymy, pojedyńczo stojące...

Zaledwie kopyta końskie zastukały na zboczach góry, gdy na placu, oświetlonym promieniami księżycowymi, zarysowały się figury czarne. Nie zdążyłem wyjść z powozu, gdy mię nagle otoczył tłum kobiet czarnych, z krzykiem i wyciem. Ale w tej chwili z cienia wyskoczył, jakby z pod ziemi wyrósł, wysoki negr. Rzucił się w tłum kobiet, krzycząc i wymierzając razy kijem na wszystkie strony.

Rozległy się krzyki i piski. Schwyciłem go za rękę:

— Co ty robisz, niegodziwcze!

Przyłożył rękę do czoła i ukłonił się nizko:

— Co sobie sir życzy?

— Chciałbym widzieć tańce. Po co bijesz kobiety?

— Ażeby one nie tykały pana. Sir chce widzieć tańce. Proszę!

Coś krzyknął i z nowym ukłonem głębokim poprosił, żebym szedł za nim.

Teraz już kobiety szły zdala za nami. Negr otworzył drzwi.

— Proszę, sir. Jesteśmy uszczęśliwieni pańskiem przybyciem.

I przeszedł przez próg. Wielka izba bez podłogi, ze ścianami wybielonemi. W jednym kącie ogromny dywan z masą poduszek szytych. Izba oświetlona ogromną lampą wiszącą.

W kącie stało dymiące ognisko. Negr obłożył mię poduszkami, ażeby lepiej było siedzieć, pocałował w rękę, rzucił na ognisko kadzidła, usiadł, skrzyżował nogi przy drzwiach, uderzył w długi bęben i zawył dziko. Izba napełniła się kłębami dymu. Negr zawył jeszcze mocniej i bardziej przeszywająco. Drzwi otworzono, a w nich ukazało się dziesięć tancerek. Uderzyły dłońmi w takt, zaśpiewały jednym głosem z negrem i poszły korowodem śród obłoków dymu, przeginając się w pasie. Negr uderzał w bęben coraz mocniej. Dziki, smutny motyw śpiewano coraz szybciej, coraz żywiej krążył korowód ciał cynamonowych.

Naraz w środek korowodu wpadła jedna z tancerek. W rękach jej błysnęły dwa kindżały. Motyw zmieniono: był to nie śpiew, lecz okrzyki przestrachu. Z wyciągniętemi rękami nad głową cała wyprężona stała ta Wenera czekoladowa z biustem bogini, z twarzą utatuowaną, z błyszczącemi czarnemi oczyma.

Jakby zastygła w powietrzu i nagle z krzykiem zakołowała śród towarzyszek, machając na wszystkie strony kindżałami.

W kłębach dymu, śród ciał cynamonowych połyskiwały ostrza i zdawało się, że oto teraz krew popłynie. Tancerki jak węże wywijały się z pod ciosów i przygięte przeskakiwały pod jej rękami. Wszystko się zlało w jakiś wicher. Unoszący się w powietrzu dym, i te dzikie skoki, jakby rozdrażnionej tygrysicy, kindżały, i kobiety, wywijające się jak węże. Negr wył i uderzał w bęben bez taktu. Naraz wszystkie tancerki upadły do nóg swojej primabaleryny.

Leżały twarzami do góry, z oczyma zamkniętemi, ona zaś stała śród nich strojna, jakby wytoczona z marmuru ciemnego, z mięśniami jak ze stali, z oczyma gorejącemi. Odrzuciła głowę, przytknęła do piersi kindżały i powoli wykręcając się całym biustem, śród ciszy głębokiej, zaczęła tonąć w kłębach wonnego dymu. Negr przysunął się i podał mi na dłoni kilka monet drobnych. Rzuciłem je na ziemię — kobiety ze śmiechem i wyciem zaczęły je sobie wydzierać, walczyć o nie. I za każdym razem, gdy na ziemię sypała się nowa garść monety drobnej, wycie, hałas, krzyk: i walka wzmagały się. Te biedne, małe kobiety czekoladowe podpełzały na kolanach, ażeby ucałować nogi białego „sira." Kosztowało mnie bardzo dużo, aby nie dopuścić do tego.

(C. d. n.).

Autor zaznacza, że zmniejszenie zakresu działalności szlachty po roku 1861 odbiło się ujemnie na społeczeństwie, szczególnie wiejskiem. Chłop dawniejszy *wstydził się* kraść, *wstydził się* pijaństwa, z pokorą słuchał perory starca, szczerze nienawidził włóczęgostwa i traktyerni; chociaż pokornie kładł się pod uderzenia rózg, umiał zachować w sobie poczucie godności włościańskiej.

Ustęp ostatni niesłychanie znamienny, szczególnie to poczucie godności włościańskiej pod rózgami. Czy jest to naiwność, czy dobra wiara, czy wreszcie co innego, niech sam czytelnik oceni należycie...

Zwrot ku szlachetczyźnie jeszcze się zaznaczył w ten sposób, że na jednem ze zgromadzeń szlachty sformułowano uchwałę w sprawie wyjednania pozwolenia na zjazdy ogólno-szlacheckie przedstawicieli tego stanu. Otóż *Mosk. Wied.*, przerażone tą uchwałą, wszczęły alarm. Zjazdy takie są „niezrozumiałe" (a więc niebezpieczne). „Pozwolenie na takie prawo szlachty i obdarzenie jej rolą zupełnie podobną do roli rządu działającego, ale wykonywaną nie w imieniu rządu, lecz całkiem samodzielnie, płodne może być w smutne następstwa. Niewątpliwie z jednej strony zniżyłoby się znaczenie rządu, z drugiej — powstawałyby niezadowolenia i zawiści innych stanów, pozbawionych takiego przywileju. Mogłoby to wywołać walkę, która jest podstawą ustroju państwowego mocarstw zachodnich, ale czynnikiem obcym ustrojowi państwa rosyjskiego."

W ostatnich czasach namnożyło się korespondentów pism rosyjskich z Królestwa Polskiego, którzy o kraju naszym, jego mieszkańcach, nastroju, a nawet ukrytym sposobie myślenia wnioskują z okien wagonu, z numeru hotelowego, ulicy lub alei ogrodowej. Ci ludzie, niezwykle przenikliwi, posiadają szczególny, nikomu nieznany sposób odgadywania myśli i uczuć. Nie znając języka, ani jego ducha, umieją podchwytywać rozmowy „polityczne." Inna kategorya sądzi o całem społeczeństwie z bliższego poznania kilku ludzi z różnych sfer. Wreszcie jest jeszcze jeden rodzaj najpoważniejszych, którzy wypowiadają wnioski o kraju i jego różnolitem społeczeństwie na podstawie znajomości paru wsi, folwarków i miasteczek.

Do tego rodzaju należy zaliczyć korespondenta *Nowoje Wremia*, który powiedział „Kilka słów o Polsce." Ale i ten, pomimo znajomości jakichś paru wsi, więcej snuje treści do swojej korespondencyi z własnej wyobraźni, niż życia rzeczywistego. Tak np. śni mu się samowola panów w kontuszach, brzęk ostróg, dźwięki mazura (i to zbrodnia?). Taka jest inteligencya szlachecka, a więc nie z nią trzeba się porozumiewać w sprawie zjednoczenia, lecz z chłopem polskim: „My nigdy się nie zrozumiemy, tylko dla niemego, cierpiącego od lat tysiąca włościanina polskiego zrozumiały będzie i drogi nasz ustrój państwowy. Pamięta on dobrze, komu zawdzięcza pierwsze dni swobodnej pracy, gdy po raz pierwszy przestał być bydłem i stał się istotą ludzką."

Za to wszystko powinno powstać w jego duszy poczucie wdzięczności pod postacią zespolenia z ludem rosyjskim. Ale w jaki sposób? Oto chłop polski jest szczerze przywiązany do ziemi ojczystej. To właśnie ma dać możność tego zjednoczenia. Próżnoby się jednak czytelnik kusił rozwiązać tę zagadkę, tj. w miłości ludu do ziemi ojczystej znaleźć środek zjednoczenia z innym ludem!..

Korespondent, łatwo rozstrzygający najtrudniejsze kwestye, znajduje przecież jedną ważną przeszkodę: różnicę religii. „Katolicyzm zapuścił głębokie korzenie, a silni powagą księża panują niepodzielnie i rozumnie nad swą owczarnią. Walczyć z tym wpływem trzeba, gdyż ma on zawsze tło polityczne, nieprzyjazne dla wszystkiego, co rosyjskie i prawosławne; ale walczyć należy bardzo ostrożnie, nie obrażając uczuć religijnych chłopa polskiego, który jest bardzo nabożny. Pobożność ta jest żywiołowym nastrojem całego narodu; to też obrażając go nieostrożnie, można wywołać w tłumie pokornych dotąd chłopów wybuch najżarliwszego fanatyzmu, a wtedy — trzeba się pożegnać ze zjednoczeniem."

Paweł Krzyżanowski.

Z NIEMIEC.

Berlin, 26 maja.

Wychowanie publiczne w Niemczech. — Wystąpienie prof. Kraepelina. — Ergograf. — Powrót do natury. — Wegetaryanizm.

Współczesny Niemiec uderza dziwną sprzecznością charakteru. Dusza Ateńczyka i obywatela Sparty ścierają się w jego piersi. Z jednej strony chciałby on dochować wierność tradycyi, która ochrzciła Niemców narodem myślicieli i poetów, z drugiej — stara się imponować swą potęgą i widzieć w każdym współrodaku żołdaka w pikelhaubie. Najdobitniej sprzeczność ta występuje w wychowaniu młodzieży. Dbając o wykształcenie swej dziatwy, Niemcy traktują wychowańca szkół jako członka korpusu kadetów, a w zakładzie naukowym upatrują przedsionek do koszar wojskowych. Czyż można sobie wyobrazić np. coś bardziej barbarzyńskiego nad prawo, które wkrótce ma obowiązywać w Berlinie: dziecko znane z lenistwa, jeśli nie przybywa do szkoły w oznaczonym czasie, odbiera wizytę policyanta, w którego towarzystwie musi natychmiast udać się do przybytku nauki. Nie większą humanitarnością tchnie zwyczaj, na mocy którego lekcye w szkołach elementarnych rozpoczynają się w lecie o 7-ej zrana, a w zimie o 8-ej. Jak oddziaływa to na zdrowie dzieci, pokazuje następujący charakterystyczny wypadek: gdy niedawno nauczyciel zgromadzonej o godzinie siódmej dziatwie oznajmił, iż może zasnąć, okazało się, że po kwadransie, jak na rozkaz hypnotyzera, cała klasa spała snem błogosławionym. Jeszcze mniej, oczywiście, baczy się na zdrowie wychowańca szkół średnich. Często elementarne względy hygieniczne są lekceważone. Oddawna już publiczność wołała w niebogłosy, iż obarcza się zbytnio uczniów nauką, co wyczerpuje organizm i zniechęca do pracy. Nauczyciele kpili ze skarg, kładąc je na karb zniewieściałości rodziców. Gdy dopiero w ostatnich latach zauważono istotnie, iż postępy uczniów coraz więcej szwankują, zgodzono się na ustępstwa: uszczuplono pracę pamięciową, przedłużono pauzy i zmniejszono zajęcia domowe, a wreszcie w ostatnich czasach w większości gimnazyów podzielono pracę pomiędzy nauczycieli w ten sposób, iż w każdej klasie wykłady spoczywają w ręku dwu lub trzech profesorów, wskutek czego łatwiej są oni w stanie wziąć pod uwagę sumę zajęć domowych dziatwy.

Ustępstwa te nie zadowoliły jednak psychologów. Na czele tych ostatnich stanął prof. Kraepelin z Heidelberga wraz z drużyną specyalistów. Od lat kilku głosi on zasadę, iż szkoła ignoruje podstawowe warunki hygieniczne pracy umysłowej, którą to myśl stara się oprzeć na danych naukowych. Przedewszystkiem usiłuje on obalić błąd, iż rozmaitość wykładów tamuje zmęczenie. Dowodzi zupełnie słusznie, iż monotonia sama przez się oddziaływa tylko na usposobienie i skutkiem tego w nieznacznym stopniu nadwerężą zdolności. Pomimo najwyszukańszej pstrokacizny wykładów po pewnym czasie zdolności usypiają i wszelka dalsza praca staje się bezużyteczną. Pauzy bezwarunkowo usuwają zło, lecz wielkość ich musi odpowiadać uciążliwości poprzedzającego wykładu. Wszelki szablon, zdaniem Kraepelina, zastosowany do szkoły, jest bezmyślnością i przeczy zasadom hygieny. Najlepszą rękojmię postępowania w danym wypadku może zapewnić doświadczenie. Prof. Kraepelin przyznaje, iż dotychczas nie zdołano wypracować ścisłej metody badania psychologicznego, tem bardziej, że dotychczasowe polegały na powtarzaniu w rozmaitych odstępach czasu pewnych czynności umysłowych, a te są zwykle związane z wprawą, która, jak wiadomo, ułatwia myślenie. Należało więc usunąć tę trudność.

Na ostatnim kongresie psychologicznym w Monachium Friedrich zdawał sprawę ze swych spostrzeżeń, które zrobił na podstawie zadawanych w początku rozmaitych godzin rachunków jednowartościowych. Starał się on, aby zadania te przedstawiały mniej więcej jednakowe trudności. Metoda ta traci zbyt widoczną subjektywnością, aby można się było powoływać na otrzymane za jej pomocą wyniki, treści zresztą bardzo smutnej. Większą rękojmię ścisłości przedstawia wynaleziony w tym celu aparat Kemsiesa, przezwany przez niego ergografem i mierzący siłę muskularną wychowańców. Rezultaty świadczą, iż najbardziej męczą matematyka i języki, najmniej śpiew i rysunki, pośrednie zaś stanowisko zajmuje historya, geografia i nauki przyrodnicze. Największy poklask zyskała sobie metoda Griesbacha. Starał się on zbadać, przy jakich warunkach przytępia się zmysł dotyku. Wiadomo, iż przyłożywszy cyrkiel do skóry przy pewnej odległości między końcówkami, tracimy zupełnie uczucie ich odrębności. Otóż Griesbach sprawdzał, jakim zmianom ulega ta minimalna odległość w rozmaitych momentach zajęcia szkolnego. Wywody jego nie o wiele odbiegają od rezultatów otrzymanych przez Kemsiesa. Najgorzej oddziaływają dni egzaminacyjne, najpomyślniej zaś wpływają na zdrowie—jak należałoby się spodziewać — wakacye. Griesbach wyraźnie podkreśla, iż „żaden młodzieniec, żaden człowiek dorosły nie jest w stanie bez niebezpieczeństwa dla swego zdrowia poddać się katuszom pracy umysłowej, jakiej wymaga dzisiejszy system szkolny." Smutnym tym wnioskom wtóruje Kraepelin w najnowszej swej rozprawie. „Jako najważniejszy argument przeciwko niebezpieczeństwom przeciążenia dziatwy szkolnej — powiada on — można chyba przytoczyć to, że dzisiejszy system nie wytwarza samych kalek. Lecz czyż szkoła ma być stacyą doświadczalną dla pokazania, ile jest w stanie znieść odporny organizm dziecięcy?" Griesbach i Kraepelin potępiają w czambuł dzisiejszą tresurę szkolną i żądają przedewszystkiem w imię hygieny zniesienia egzaminów, zmniejszenia zajęć domowych i prac pamięciowych."

Zdaniem Kraepelina, przeciążenie daje się dziś silniej we znaki, niż dawniej, dla dwu przyczyn. Popierwsze, coraz więcej dziś mieszczanie starają się dla synów swych uzyskać ulgi przy wstąpieniu ich do wojska; z tej racyi napycha się głowę młodzieńca przez dłuższy czas nauką, niż na to pozwalają jego zdolności. Nadto wskutek wzrostu specyalizacyi każdy nauczyciel życzy sobie, aby uczniowie jak najszczegółowiej zgłębili jego przedmiot; to też na wyścigi obarczają wychowańców balastem naukowym. Rodzice mogą się chyba pocieszać tylko tą względnie radosną myślą, iż dręczyciele dziatwy system szkolny dziesiątkuje w sposób bardziej nielitościwy. Według prof. Eulenburga, siła żywotna nauczycieli zużywa

się tak szybko, iż ze wszystkich zawodów wyzwolonych ten cieszy się najmniejszą długowiecznością. Ze względu na oszczędność władza zmusza ich do godzin pracy, niepraktykowanych nawet w zakładach kadetów.

Niezadowolenie z dzisiejszego systemu pedagogicznego rośnie w sferach inteligentnych. Reakcya posuwa się tak daleko, iż dziś, podobnie jak przed stu laty, rozlegają się znowu głosy, żądające powrotu do natury. W Berlinie założono pismo głoszące te idee p. t. „Przewodnik dla zdrowego wychowania.“ Ma powstać również stowarzyszenie, które obrało sobie to samo hasło. Przedewszystkiem żądają ci „naturaliści,“ aby szkołę dzisiejszą przeistoczono na modłę helońską, a wykłady odbywały się pod gołem niebem. Więcej powietrza i światła należy dać dziatwie. Zwolennicy tych teoryj zwracają uwagę na to, jak w utworach nowszych poetów przebija tęsknota za słońcem. Ibsen i Hauptmann zwracają się wciąż ku niemu jako wcieleniu życia, siły, poezyi i wiecznej młodości. Rys ten został trafnie uchwyconym. Trzeba tylko widzieć, jak w niedzielę Berlin świeci pustkami, jak setki tysięcy tego dnia zalewają przedmieścia stolicy, aby płuca swe, zatkane sadzą i kurzem, odświeżyć na łonie natury; łatwo wtedy zrozumieć, iż wielkie miasto potęguje w człowieku pociąg do matki - przyrody. Wspomniane żądania pedagogiczne rozbijają się atoli o szkopuł natury technicznej. Do 1,000 szkół elementarnych Berlina uczęszcza 200 tysięcy dziatwy. Jak — zachodzi pytanie — tłumy te przenosić codzień po za obrąb berlińskiego terytoryum i z powrotem; pobyt pod gołem niebem nie zawsze przypadałby do smaku wychowańcom, jeśli się uwzględni różnicę pomiędzy klimatem starożytnych Aten a nowoczesnych nad Szprewą. Głosiciele nowej ewangelii pedagogicznej wysławiają jako najwyższą zasadę—prostotę. Czy jednak kategorya ta może posłużyć za nić przewodnią w czasach, kiedy najbardziej subtelne zasady i wyrafinowane pojęcia ledwie pozwalają człowiekowi oryentować się w labiryncie życia współczesnego? Zasada Rousseau'a jest dziś mglistym, nic nie mówiącym frazesem.

Zauważę jeszcze, iż apostołowie prostoty są odłamem jaroszów, którzy w Niemczech swej krucyacie przeciwko mięsożerności nadają znaczenie obszerniejsze. Teoryę wegeteryańską wiążą oni z teoryą prostoty i stoicyzmu w życiu (a również i z homeopatyą, czyli t. zw. Naturheilkunde). Przez długi czas wychodziło tu pismo, *Berliner Reform*, które wegeteryańskie idee stosowało nietylko do pedagogii, lecz nawet rozciągało na prawo i politykę. Sprawiedliwość społeczna i niezłożoność życia prawnego — oto były nabożne życzenia tych jaroszów marzycieli. Mają oni nawet swe domy wychowawcze, gdzie młodzież kształcą podług swych ideałów. Naiwność filozofii społecznej jaroszów stoi niżej wszelkiej krytyki naukowej. Ich pedagogiczne żądania mogą jednak znaleźć odgłos w Niemczech, jako protest przeciwko stosowaniu militaryzmu do szkoły.

H. F.

WIĄZANKA KRAKOWSKA.

Statut, wodociągi i tramwaje. — Szkoły przemysłowe.—Posiedzenie Akademii Umiejętności.—Uczczenie Mickiewicza w uniwersytecie.

Obecnie na porządku dziennym są trzy sprawy wielkiej wagi dla miasta: sprawa reformy statutu miejskiego, wodociągów i tramwajów. Od lat trzydziestu wszyscy odczuwają potrzebę zmiany „tymczasowego“ statutu; profesor Kasparek przedstawił nawet radzie odpowiedni projekt, który wydał się jednak zbyt rewolucyjnym i złożono go w jakiejś komisyi do odpowiedniego spreparowania, gdzie leży dotąd. Na równie pomyślnej drodze znajduje się sprawa wodociągów; przeszła ona już szczęśliwie pierwszą fazę — badań. Wyniki ich okazały, że woda z gruntów bielańskich i budzyńsko-chobrzyńskich odpowiada w zupełności wymaganiom hygieny pod każdym względem; różni się też zupełnie od wiślanej. Również względy techniczne przemawiają za wyborem pomienionych gruntów, wystarczyłyby nawet same Bielany, a wtedy koszta budowy wyniosłyby 1,250,000 złr., wodę zaś budzyńsko-chobrzyńską należałoby uwolnić od żelaza, co zwiększyłoby koszta o 60,000 złr. Ta opinia rzeczoznawców niemieckich została złożona do akt, od uchwały rady zależy reszta.

Podobnie załatwia się sprawa tramwajów... od lat kilku. Dotychczasowe towarzystwo akcyjne zamienia się na spółkę, która obowiązuje się własnym kosztem przekształcić linię kolei konnej na elektryczną, oraz wybudować nowe bocznice. Gmina zgadza się na to pod warunkiem, że spółka tramwajowa postara się o koncesyę na budowę nowych kolei i na przemianę już istniejących w ciągu 45 lat; po upływie tego czasu gmina obejmuje na własność wszystkie linie kolei wraz ze wszelkiemi ruchomemi i nieruchomemi przynależnościami; zastrzega też sobie prawo kontroli nad przedsiębiorstwem, aby wszystko było utrzymane w należytym porządku. Po 25 latach służy jej prawo wykupienia całego przedsiębiorstwa, jeśli na rok wprzódy spółkę o tem zawiadomi.

Popisy w tutejszych szkołach przemysłowych wykazały bardzo słabe wyniki nauki wogóle; o potrzebie kształcenia się rzemieślników mówią na wszystkich posiedzeniach, właściwie jednak dba się o nie bardzo mało. Nad szkołami temi niema żadnego właściwie stale zorganizowanego nadzoru, opiekuje się niemi sekcya przemysłowa rady miasta i krajowa komisya przemysłowa; wyznacza ona dzień rozpoczęcia i zakończenia roku szkolnego, i na tem kończy się jej czynność. Stąd też zakres nauki w każdej szkole na tym samym stopniu jest inny, zależy tylko od uznania grona nauczycielskiego. Terminatorzy są tak biedni, że żaden prawie nie może sobie sam sprawić wszystkich przyborów szkolnych; gdyby magistrat chciał ich dostarczyć wszystkim uczniom, wypadałoby zaledwie po kilkadziesiąt złr. rocznie na każdą szkołę, co nie zubożyłoby bardzo jego kasy.

Dnia 15 z. m. odbyło się doroczne posiedzenie publiczne Akademii umiejętności; ćwierć wieku upłynęła właśnie od czasu, gdy instytucya ta wyrosła ze skromnego Towarzystwa naukowego. Profesor Oswald Balzer ze Lwowa wygłosił odczyt „Sprawa następstwa po Kazimierzu Wielkim,“ wyjaśniający prawno-polityczne podstawy objęcia tronu przez dom andegaweński. Członkami korespondentami na wydziale filologicznym mianowani: Jan Bołoz Antoniewicz ze Lwowa i Leonard Lepszy z Krakowa, na wydziale historyczno-filozoficznym członkiem czynnym zagranicznym prof. Henryk Struwe z Warszawy, korespondentem Ernest Till ze Lwowa. Nagrody przyznała Akademia: 1,200 złr. z funduszu ś. p. ks. biskupa S. A. Krasińskiego ks. dr. Józefowi Bilczewskiemu za dzieło: „Eucharystya w świetle najdawniejszych pomników piśmiennych, ikonograficznych i epigraficznych.“ Z fundacyi ś. p. Barczewskiego za tom XXII „Źródeł dziejowych“ 1,125 złr. Aleksandrowi Jabłonowskiemu, taką samą kwotę z tejże fundacyi Józefowi Chełmońskiemu za obraz „Pastuchy w polu w czasie burzy.“

Uniwersytet Jagielloński postanowił ku uczczeniu setnej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza ustawić w swym gmachu popiersie poety. Wzywa on „wszystkich członków wszechnicy Jagiellońskiej: profesorów, uczniów, dawnych i obecnych, aby zechcieli datkiem, choćby najskromniejszym, przyczynić się do uskutecznienia tej myśli, która w każdem sercu polskiem znajdzie odgłos szczery i donioSły. Niechby postać Mickiewicza stanęła między nami, a duch Jego przejął serca i słowa wszystkich, którzy nauczają lub szukają nauki w tych murach...“

Profesor Stanisław Smolka, sekretarz Akademii był w tych dniach na prywatnem posłuchaniu u papieża i przywiózł stamtąd... błogosławieństwo Leona XIII dla siebie, swej rodziny i Uniwersytetu krakowskiego*).

Ar.

DZIEJE ZABAWY.

II.

Iza solidarności gminnej i za czasów pańszczyzny animusz ożywiał biesiadników. Życie tryskało tam całą pełnią — wrzaskliwe może i brutalne, ale niezatrute jeszcze niemocą wewnętrzną i ufne w jutro. Dopiero cywilizacya nowoczesna, wyznająca zasady powszechnej, wolnej konkurencyi i za najwyższy przymiot uważająca dobre pazury, wzięła rozbrat z radosnem usposobieniem ducha i nad czołem naszem zawiesiła niemal nieschodzące nigdy widmo znękania i przygnębienia. Daleka przyszłość, lepiej pojmująca naszą epokę, niż my sami, bo wolna od subjektywizmów otoczenia i rozporządzająca perspektywą historyczną, zarzuci wiekowi XIX, iż trawiła go ciągła, choć niewyraźna i niesformułowana obawa jutra.

W samej rzeczy dręczy nas taka bojaźń — płaska, nikczemna, filisterska. Są obawy, które łamią ducha, są uczucia, które człowieka zamieniają na wypalone zgliszcza. I w naszej epoce zdarzają się one, ale jeszcze częściej przeważa coś, cobyśmy zwahali się ochrzcić szczytnem mianem namiętności. Otoczenie rzeczowe — warunki materyalne bytu — tak rozrosło się, tak zapanowało nad nami, tak popycha nas w różne strony, rozrywa i kawałkuje duszę na części, że, jak w mętnej wodzie, kryształ wielkiego uczucia nie może się ostać i nawet powstać. Amerykanie skarżą się, że pokolenie obecne za morzem zamiast miłości zna tylko flirt — igraszkę z uczuciem, w której zanik wszelkiej indywidualności jest poniekąd rysem najcharakterystyczniejszym. Flirtuje się tam z kobietą lub mężczyzną, nie jako z pewną określoną osobistością, lecz tylko jako z kategoryą płci odmiennej. A ponieważ „mężczyzna“ jest wcielony w tysiączne obrazy, każdy jest miły, każdy przyjemny, jeden mniej, drugi więcej, różnice zaś dotyczą nie tyle jakości, ile ilości, tj. ktoś przymila się większemu, ktoś inny mniejszemu gronu osób. Tak samo płaską, nikczemną i niezindywidualizowaną jest obawa, właściwa dobie tegoczesnej. Nie zabija ona człowieka, ale jako wampir w ciągu całego żywota wysysa soki, zatruwa radości i stwarza ów osobliwy nastrój, który słynie pod nazwą *Lebensangst*—bojaźni życia i użycia. Dawne czasy spoglądały śmiało w przyszłość: człowiek, jako dąb stuletni, mocno wrastał korzeniami swymi w ziemię i żył ufny w dzień jutrzejszy. Klęska nieprze-

*) Czyż podobna, ażeby Uniwersytet krakowski tego błogosławieństwa dotąd nie posiadał? *Red.*

widziana powalała go niekiedy, padał wówczas, ażeby więcej nie wstać. Co do nas, nie jesteśmy pewni, co jutro nam przyniesie. Dochody nasze i zarobek pochodzą ze sprzedaży towaru, powodzenie zaś zależy od ukształtowania się stosunków na rynku, nad którym nie mamy władzy. Mogą tam ukazać się konjunktury tak nieprzyjazne, iż zdolności nasze i siły nie podołają bezimiennym przeciwnikom, którzy gotowi są nadejść każdej chwili, choć niewiadomo kiedy, skąd i w jakiej postaci. Trwoga rozbicia zawisła nad nami, i zaiste szczęśliwi są lekkomyślni, którzy wśród fal płyną, żyjąc dniem dzisiejszym. Ale ktokolwiek przyzwyczaił się myśleć o tem, co przyszłość przyniesie, i niepokoić się możliwymi zawodami, ten traci zwolna pogodę ducha. Dzień za dniem, godzina za godziną pozostawiają tam nieco jadu. Niejasna, niesformułowana, niekiedy nieuzasadniona, obecna przecież i ciągła obawa składa w duszy naszej zakłopotanie i przygnębienie, w najlepszym zaś razie niszczy radosne usposobienie. Jak rzeka brzegi, tak ona unosi animusz, który ożywiał ziomków podczas okresu gospodarstwa naturalnego. W przeszłości znano rozpacz bezbrzeżną, ludzie ginęli zmożeni jedną wielką klęską, ale były to stany, świadczące o żywotności organizmu — jak w przyrodzie fizycznej reakcya zawsze odpowiada akcyi, tak samo tylko po silnej namiętności i w silnem ciele nastaje takie rozbicie. I dzisiaj istnieją zrozpaczeni, ale nikną oni w orszaku zniechęconych i przygnębionych — tych filistrów smutku, będących jako dąb,

...kiedy czerw mu waliznie się pod korę,
I zwolna drzewo schnie i ginie chore.

Lubię przyglądać się tłumom, przeciągającym przez ulice wielkiego miasta. Dwa wyrazy na twarzy uderzają mnie zawsze: jeden bezmyślny, uśmiechnięty, drugi z chmurą przygnębienia. Niekiedy jest jeszcze trzeci, połączenie obu, właściwy owym *cochons tristes*, jak ktoś ochrzcił takich eklektyków uczucia.

Rysy powyższe nie wyczerpują jeszcze duchowej fizyognomii warstw zamożniejszych, które niemal jedynie mamy na uwadze, poddając rozbiorowi zabawy tegoczesne. Istnieją tam, w psychice ludzkiej, inne pierwiastki, dawniej nieobecne, dzisiaj zaś bynajmniej nie przyczyniające się do nadania obrazowi charakteru dodatniejszego.

Psychologowie noweliści, obracający się w kołach inteligencyi i opisujący „subtelności" ducha i narowy, unoszą się nad tym cennym przymiotem, za jaki uważają „przecywilizowanie." Wyraz to nieco niezrozumiały, i co do mnie ochrzciłbym rzecz może nieściśle, ale za to prosto z mostu: przelajdaczeniem nerwów i zmysłów w stylu użycia filisterskiego. Ktoś doznaje ciągłych wrażeń, ale tak nieznacznych i pozostawiających słabo ślady, tak szablonowo powtarzających się, że z biegiem czasu wszystkie nerwy zostają tam przytępione, acz nie zaspokojone. Zaczęto je podrażniać w tym wieku, gdy na dobrą sprawę młodociany umysł jeszcze nie powinien był zaznać tego rodzaju uciech. Smarkacz co do lat ma już zdanie własne o teatrze i o balecie, podlotek, którego piersi są jeszcze zwykłą deską, umie szukać wrażeń, jakie przystoją latom późniejszym. Zaczynamy żyć przedwcześnie i tak samo przedwcześnie zużywamy się:

...Dawniej się trzeba było zużyć, przeżyć,
By przestać kochać, podziwiać i wierzyć.
Dziś—pierwsze nasze myśli są zwątpieniem,
Nudą, szyderstwem, wstrętem i przeczeniem.

Zblazowanie ogarnia młody organizm. Jak powstają typy filozofujących blagierów, którzy mają czelność wydawania sądów o wszystkiem, chociaż niczego nie zbadali gruntownie, tak samo w sferze użycia są ludzie-ścierki, co kosztowali z każdego garnka, zepsuli trawienie, ale ani razu nie jedli dobrze. Braknie silnych porywów uczucia, tylko zmysły grają tam i łykają surogat, jaki znajdują. Powstaje przesyt-głód, łaknący „subtelności." Zarazem zacząją wiedzy, że zatruła ducha naszego skeptycyzmem. Fałsz to wierutny! Niewiara we własne siły i nawet w niewiarę jest płodem zblazowania nerwów i zniekształcenia uczuć. Powróćmy ludom żywotność barbarzyńcy, i to samo ziarno, co ma nas dzisiaj zatruwać, wyda zgoła inne płody!

Dodajmy jeszcze, że oduczono nas bawić się samodzielnie. Opowiadano mi niegdyś o maleństwie z ogródka froeblowskiego, które przyuczone śpiewać, maszerować i igrać na komendę, w towarzystwie rówieśników było jak nie swoje. Odwykło od nieskrępowanej, wolnej rozrywki! Całe otoczenie tresuje nas dzisiaj tak samo. Ktoś na deskach teatru odtwarza dla nas cudze namiętności, ktoś tańczy w balecie lub gra na koncercie, ktoś wreszcie sprzedaje miłość i zmuszony warunkami zarobku wyszukuje środków zrobienia jej bardziej denerwującą i w ostatecznym rezultacie bardziej znieprawiającą. Nawet gdy chodzi o wzmocnienie sflaczonych mięśni, nawet wtedy nie bierzemy się do roboty, przedstawiającej cel jakiś i treść, lecz oddajemy się pod rozkazy specyalnego feldfebla i w sali gimnastycznej wykonywamy ruchy, może dyktowane przez znajomość anatomii, tylko nie psychiki ludzkiej, bo jałowe, nudne i bez sensu. Doszło do tego, iż każemy komuś wyszukiwać nowych zasad etyki, jak gdyby społeczeństwo było bydlem, które winno stosować się do woli hodowcy. I zabawa, i gimnastyka, i kodeksy moralne świadczą, że życie nasze przesiąkło biurokracyą — organizacyą czynności społecznych, zrodzoną w fabryce.

Rozgoryczeni i przygnębieni, w każdym zaś razie pozbawieni radosnego usposobienia ducha, przecywilizowani lub przedwcześnie zblazowani, przesyceni, acz nie nasyceni, z przytępionymi choć głodnymi nerwami, przyzwyczajeni do tego, ażeby ktoś nas bawił, poszukujemy rozrywki i stwarzamy zabawy takie, jakie przystoją naszemu jestestwu. Gdy ktoś, dźwigający osiem krzyżyków na zgiętym karku, mówi, iż pokolenie obecne oduczyło się bawić, wiem, że mam do czynienia z subjektywizmem starego mózgu, ale jednocześnie nie mogę nie czuć, iż narzekający musi ze wstrętem patrzeć na zabawę, polegającą na mieleniu językiem, gładkich lecz dwuznacznych komplimentach, dowcipkowaniu ze wszystkiego, wreszcie lekkich uściskach ręki, w których niema zwykle indywidualizmu uczucia, tylko są samce i samiczki. Nierząd idejowy kwitnie śród takiej zabawy — w tem znaczeniu, że górnolotnym słówkom nie towarzyszy czyn żaden, że wielkie hasła, zamieniono na zdawkową monetę dowcipów i żartów, są bez poczucia obowiązków, że idee stały się środkiem flirtu. Z deprawacyą umysłu idzie w parze zniepiawienie uczucia: dziewczęta stają się zblazowanemi *demi-vierges*, mężczyźni — ci od lat piętnastu wiedzą dobrze, gdzie raki zimują.

I mimowoli nasuwa się obraz po obrazie.

Zabawa tańcująca. Przedstawiciele płci męzkiej podpierają ściany lub w drugim pokoju robią komentarze i udzielają sobie nawzajem wskazówek, z którą z pań można pozwolić sobie flirtu realniejszego. Jest tam cynizm, cięty i nieraz zręczny dowcip, wreszcie zmysły, ale niema uczucia i animuszu. Są nawet filozofowie zniechęcenia — tak samo szablonowi, jak reszta, ale uważający za swój obowiązek pogardliwie mówić o tańcu. „Wyższe" te umysły z lekceważeniem patrzą na rozrywki motłochu. Dziwić się należy, jakim sposobem znaleźli się na wieczorku... Przysłuchując się z dolnego piętra holuppcom, istotnie gotowi jesteśmy zsolidaryzować się z tymi mędrcami posadzki salonowej. Ale w sprawach ludzkich pytajmy się przedewszystkiem podmiotu, co ożywia ruchy, o zdanie, szukajmy nie bezmyślnego przedmiotowo uderzania nogą o podłogę, ale zadowolenia wewnętrznego, jakie ono nieci w jaźni tancerzy! Z punktu przedmiotowego i praca najwznioślejsza mózgu będzie tylko prostem brykaniem atomów. Nie wątpię ani chwili, iż kto umie uszanować taniec, tj. czyjeś radosne usposobienie, towarzyszące wolnemu, przyjemnemu ćwiczeniu mięśni i podnieceniu nerwów, będzie umiał także oddać hołd idei.

I obok tego obrazu w wyobraźni wypływa inny:

...I szły pary po parach hucznie i wesoło,
Rozkręcało się, znowu skręcało się koło,
Mieni się cętkowata, różna barwa strojów
Damskich, pańskich, żołnierskich jak łuska [błyszcząca,
Wre taniec, brzmi muzyka, oklaski i zdrowia!

Jeszcze dalej w pomroce wieków wynurzają się postacie barbarzyńców. Tańce były za ich czasów swego rodzaju gimnastyką szwedzką, tylko że ruchy mięśni poddano idei, bo wpleciono je w wątek dramatyczny i uszlachetniono duchem patryotyzmu. „Korowody—pisze Curr o Australczykach — wymagały niezwykłego napięcia mięśni. Trwały parę godzin, nieraz dłużej!" Lecz chyba niepodobna złożyć większego uznania tanom barbarzyńskim, niż jakie dał Morgan, ów głęboki znawca społeczeństwa niecywilizowanego. Ażeby odtworzyć w umyśle charakter tanów i korowodów ówczesnych, oraz ich fizyognomię duchową, trzeba byłoby uprzednio wyzwolić wyobraźnię swoją z pod wzorów salonu dzisiejszego, natomiast zwrócić się ku opisowi poety, jak w Soplicowie tańczono. Ale i wtedy nawet nie otrzymalibyśmy jeszcze należytego obrazu. „U Indyan — pisze etnograf amerykański — i wogóle wśród całej rasy czerwonoskórej taniec był nietylko obrzędem dziękczynienia, ale uchodził za sztukę boską. Poważano go nietylko jako najstosowniejszy środek obcowania towarzyskiego, ale jeszcze nadto jako dźwignię potężną podniecenia patryotycznego, oraz utrzymywania w napięciu ducha łączności plemiennej. Młodzieniec indyjski kosztował pierwszych słodyczy wzruszenia emocyonalnego w korowodzie. Potężny wpływ tańców niecił w duszy jego pierwszą pobudkę patryotyczną i najwcześniejsze marzenia ambicyi. Duch życia indyjskiego zakrzepnął w tańcach patryotycznych, religijnych i społecznych. Przywiązywały one plemieńców do drobiazgów, ale także rozdmuchiwały zarzewie patryotyzmu. Upór, z jakim Irokowie trzymali się pląsów plemiennych, daje najwymowniejsze świadectwo o ich przemożnem oddziaływaniu na umysły ludu. Misyonarze od pierwszej chwili wypowiedzieli walkę tym urządzeniom, ale znaleźli posłuch tylko u nieznacznej mniejszości." Morgan, który niejednokrotnie bywał świadkiem takich korowodów ogólno plemiennych, opowiada, iż nawet obcy widzowie podlegali entuzyazmowi. Jeden z Iroków rzekł do niego: W dniu, w którym zaprzestaniemy naszych tańców, wynarodowimy się!

Tak tańczono i bawiono się ongi! Irokowie byli ludem niewysubtelnionym, który przy okazyi obżerał się, pił i dopuszczał gwałtów. Ale jako naród posiadali oni wielki przymiot: mieli zapał. Wierzę w społeczeństwo, którego członkowie są zdolni do egzaltacyi, chociażby w zabawie i tańcach. Może być ono przesądne, ciemne, barbarzyńskie, ale tkwią w niem pierwiastki życia. Natomiast nie ufam ludom mądrym, lecz sceptycznym, u których rozsądek i względy utylitarne wyziębiły

wszelki poryw, które nawet w zabawie wykazują niewiarę szyderczą w wybryki własnego ciała. Cywilizacya złamała czerwonoskórców, ale nie zgięła ich. Zginęli świadomi, iż lepiej nie istnieć, niż istnieć spodlonym. Utylitaryzm nowoczesny dał inną zasadę: lepsze upodlenie, niż nieistnienie.

L. Krzywicki.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Wyskok p. Franki przeciw Mickiewiczowi. — Sekciarstwo najnowszej formacyi. — Fanatyzm jako siła bojowa i jako paraliż cywilizacyjny. — Filozofia zaścianka galicyjsko-rusińskiego — Wielkie duchy przed sądem wójtowskim. — Rocznica zgonu Moniuszki. — Czem są geniusze dla narodów.

Dzienniki nasze mają ten szczególny zwyczaj, a zarazem zdolność, że umieją przez kilka miesięcy sławić lub ganić kogoś lub coś, nie wspomniawszy przytem (a może i nie dowiedziawszy się) o istocie faktu lub osoby. Tak np. od pół roku blizko gromiono w naszej prasie „hakatystów," ale przez cały ten czas nikt nie wytłómaczył, kto to są ci jegomościowie i skąd powstała dziwaczna ich nazwa, a gdyby dr. W. R. nie objaśnił szczegółowo w *Prawdzie*, może dotąd czytelnicy gazet nie wiedzieliby, czy hakatyści są jakąś nową rasą, sektą religijną, bandą rozbójniczą, czy może gatunkiem drapieżnych zwierząt. Obecnie dostaje chłostę publiczną p. J. Franko, znany pisarz galicyjski, za swe wystąpienie przeciwko Mickiewiczowi w wydawnictwie wiedeńskiem *Die Zeit*. Ponieważ tej filipiki w oryginale nie czytałem, a nasze dzienniki przytoczyły z niej zaledwie parę zdań, więc nie mogę ani przedstawić, ani krytykować *wywodów* autora. Jak widać wszakże z owych wzmianek, oburza się on na myśl postawienia pomnika Mickiewiczowi, który był „poetą zdrad" i wogóle apostołem przewrotności. Jakkolwiek od lat kilku nie mam już sposobności obserwować umysłu p. Franki, gdyż on przestał być współpracownikiem *Prawdy*, nie przypuszczam jednakże na podstawie dawnej, chociaż tylko odległej i literackiej znajomości, ażeby on był zdolnym do obryzgiwania posągu naszego wieszcza błotem potwarzy. Nie, p. Franko nie jest oszczercą, ale widocznie stał się sekciarzem. Dwa te gatunki są do siebie nieraz podobne w objawach, ale różne w swojej istocie i pobudkach. Zachodzi między nimi taka różnica, jak między zbójem a fanatykiem, między bandytą, mordującym ludzi dla zdobycia łupu, a inkwizytorem, palącym niewiernych dla przypodobania się Bogu. W ostatniej fali cywilizacyjnego życia, w ostatniej warstwie jego czynników sekciarstwo stanowi pokład najobfitszy. Prawie wszystkie te prądy myśli, które uderzają w zbutwiałość podwalin i wiązań społecznych i które porywają z sobą duchy ku doskonalszej przyszłości, płyną łożyskami ciasnemi. Słyszymy, że tylko koryto ich biegu ma być głębokie, tylko jego potok czysty, tylko jego kierunek prosty. Wszystkie zaś nurty równoległe lub przeciwne są mętne, kręte, zdradzieckie, zgnilizną przepojone. Głosiciel nowych haseł czuje do starych lub odmiennych bezwzględną pogardę, miewa zachcianki Kalwina i Omara, radby spalić, a *in effigie* nieraz pali odszczepieńców swej wiary i wszystkie księgi oprócz własnego Koranu. Jego nietolerancya, jego niezdolność pojęcia i uznania czegokolwiek po za tym Koranem dochodzi do krzywdzących obelg, brutalnych napaści, dzikiego okrucieństwa i furyi. Nawet najszlachetniejszym sekciarzom brak zawsze zmysłu do odczucia rozmaitości i rozwoju życia. Nie mogą oni pogodzić się z wielopostaciowością jego objawów i protestują przeciw wszystkim nieukształconym według ich systematu, nie mogą zrozumieć, ażeby jakiś proces musiał przechodzić inną drogę, niż oni mu wykreślają. Bądźmy wszakże sprawiedliwi dla tych opętańców idei. Pomijając to, że ona może być najsłuszniejszą i najszczytniejszą, a oni mogą płonąć ku niej ogniem najczystszej miłości, sam ów dziki, nieokiełznany, barbarzyński fanatyzm stanowi potężną siłę rzutu — jakby powiedział Supiński — której ludzkość zawdzięcza przebicie się najwspanialszych idei przez grube i żadną inną mocą niepokonane zapory. Jeżeli życie jest polem zaciętych walk, a postęp zdobywaniem obronnych twierdz, to i jego zapaśnicy muszą miotać swoje groty z odpowiednią siłą, którą im właśnie daje fanatyzm. Westchnienia nie wydmą żagli, którym potrzeba wiatru, pod dźwiękami liry nie runą mury fortecy, które padają tylko pod kulami armat, więc i boje umysłowe wymagają odpowiedniej siły, zapewniającej pociskom skuteczność działania. Fanatyzm — to proch armat wszelakiego sekciarstwa.

Ale jakkolwiek ono posiada nieraz w swem łonie ziarna wielkich myśli i czystych uczuć, nie staje się nigdy długotrwałym i powszechnym karmicielem ludzkości dlatego, że zamyka jej życie duchowe w pewnym ciasnym obrębie celów i zasad, odgradzając go od innych zaślepieniem, które tworzy zastój, i nienawiścią, która jest bezpłodną. Każdy system poznania i postępowania jest rodzajem religii: otóż historya przekonywa nas dowodnie, że żadna religia nie objęła szerokich kręgów ludzkich i nie przetrwała długich okresów czasu, która oparła się na nienawiści. Uczucie to może być potrzebą chwili, ale nie będzie przykazaniem wiekuistem. Rodzina ludzka musi dążyć i rzeczywiście dąży do porozumienia się, zgody, braterstwa, uwzględnienia i uszanowania różnic między swemi gałęziami i jednostkami, a niema dotąd takiej prawdy, którąby można uznać za niewzruszoną, niema takiej postaci stosunków ludzkich, którąby można ogłosić za najdoskonalszą, niema takiej istoty, którąby można nazwać najidealniejszą. To też nie ta lub owa sekta, ale humanizm pozostanie zawsze najwyższą teoryą życia.

Ponieważ nie broniłem nigdy i nie usprawiedliwiałem krzywd, wyrządzanych Rusinom galicyjskim, więc niech mi wolno będzie w zamian wyznać, że wiara polityczno-społeczna skrajnych między nimi żywiołów jest chyba najciaśniejszem sekciarstwem, jakie da się dziś odnaleźć w obrębie Europy. Są to bowiem interesy, pożądania i upodobania ciemnej masy, podszyte radykalizmem ekonomicznym, który je zaopatruje w kły i pazury. Słuchając tego niemilknącego chóru żalów, oskarżeń, potępień, wymysłów, zdaje się, że dla niego cała ludzkość, nienależąca do gromady wschodnio-galicyjskich chłopów, niegodną jest tego nawet, ażeby oni złożyli ją na kupę kompostową i kiedy zupełnie zgnije, rozwieźli po swych polach jako mierzwę. W prąd tej szczególnej filozofii, w której najsłuszniejsze prawa i najdotkliwsze bóle mieszają się z antycywilizacyjnym wstrętem, ślepą nienawiścią i brutalnem łakomstwem, wpadają często umysły lepsze a—jak mniemam—wpadł także p. Franko. W Mickiewiczu znieważył on wszystkich największych poetów świata, bo trudno byłoby wyszukać między nimi takiego, któryby dogodził chłopu rusińskiemu. I Homer, i Sofokles, i Dante, Shakespeare, Schiller, Goethe, Byron, Shelley, wszyscy oni opiewali takie postacie i czyny, które nie ostałyby się przed tym surowym trybunałem. Przypuszczam nawet, że gdyby p. Franko kupił sobie u Gubrynowicza we Lwowie VI-ty tom pism Mickiewicza i przeczytał w nim jego artykuły polityczno-społeczne, przyznałby może, że ten nasz krwiożerczy „poeta zdrad" wypowiadał takie zdania, które nietylko nie sprzeciwiają się dobru chłopów rusińskich, ale tkwią w ewangelii jego pogromcy. Zaiste, jest to dziwną ironią losu, a zarazem wymowną ilustracyą zaciekłości sekciarstwa, że poeta, który zadziwiająco wyprzedził myślą swój czas i w przekonaniach społecznych poszedł dalej, niż wszyscy jego towarzysze z Parnasu, stał się przedmiotem napaści radykała. To zdarzyć się mogło tylko we wschodniej Galicyi.

Chciałbym w moich siłach posiadać dość wymowy i argumentów, któreby przekonały młodych, sympatycznych mi skądinąd sekciarzów, że opluwanie wielkich postaci, naśladowanie hyen w rozgrzebywaniu czcigodnych grobów, udawanie Dawidów, rzucających z procy kamyki na Goliatów, urąganie tytanom, którzy przez pewien czas dźwigali świat na swych barkach, leży bliżej lekkomyślnego żakowstwa, niż śmiałego bohaterstwa. Wobec nieprzeniknionych zagadek poznania wszyscy błądzimy, nie należy więc geniuszów pociągać przed sąd wójtowski jak włóczęgów i rzezimieszków dlatego, że oni powiedzieli swojej epoce to, co ona zrozumieć i odczuć mogła, co oni z niej wiedzą i natchnieniem wydobyli. Pierwszy lepszy ulicznik wytrzepie rózgą posąg Cezara lub Napoleona, ale to nie jest popis męztwa dla ludzi poważnych.

W czasie, kiedy tyle kogutów dziennikarskich wskakuje na kopce mogilne geniuszów i pieje na nim swoje kuku-ryku, nie zdziwiłbym się wcale, gdyby jakiś apostoł odrodzenia muzyki wystąpił z potępieniem dla Moniuszki, dowiódłszy, że ten przestępca nie umiał w orkiestrze używać pikuliny. Niech to nam jednak nie przeszkadza w uczczeniu 25 rocznicy śmierci wielkiego pieśniarza.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

James Sully, *Umysłowość ludzka*. Księga podręczna psychologii. Z angielskiego tłóm. J. K. Potocki. Tom I-szy. Warszawa, 1897.

III.

Autor wraz z innymi psychologami podziela widocznie obawę, ażeby nie został posądzony o dążności materyalistyczne, gdyby uznał wyraźnie przyczynowy stosunek między zjawiskami duchowemi a fizycznemi, chyba że szuka on w przyczynowości pewnego *nexus* przyczynowego, bądź wyraźnego, bądź domyślnego. Lecz o takim *nexus* między pojęciami abstrakcyjnemi, jakiemi są duch i materya, mowy być nie może. W istocie, byłoby to grzeszyć czystym materyalizmem, gdybyśmy chcieli wyprowadzać świadomość ze znanych własności materyi, gdybyśmy ją utożsamiali z cząsteczkowym ruchem materyi mózgowej. Lecz prawo przyczynowości bynajmniej tego nie wymaga. Głosi ono tylko to, że fakt, który w tych samych okolicznościach stale i niezmiennie poprzedza fakt inny, jest względem niego przyczyną. Ponieważ w powszechnym rozwoju przyrody zjawiska materyalne poprzedziły duchowe, zatem te ostatnie muszą być uznane za skutek pierwszych. Ostatnimi czasy zaczęto przyznawać prawu przyczynowości zna-

czenie, które z powyższym wnioskiem zdaje się nie zgadzać, a nawet wprost go zaprzeczać. Przez prawo przyczynowości pojmują mianowicie przemianę materyi z zachowaniem tej samej ilości energii. Takie rozumienie prawa, oparte na postrzeżeniach wewnętrznych, słusznem jest tylko w zakresie zjawisk, owym postrzeżeniom podległych; ale nie może być stosowane do zjawisk, które znamy tylko dzięki postrzeżeniu wewnętrznemu. Pamiętajmy atoli, że tak postrzeżenia zewnętrzne, jak i wewnętrzne mają znaczenie czysto podmiotowe, że zatem, jeżeli między spostrzeżeniami zewnętrznemi, stanowiącemi dla nas to, co nazywamy materyą, a wewnętrznemi, będącemi tem, co nazywamy duszą, nie możemy wykryć żadnego przejścia, to przyczyna tego leży nie w przedmiotowej rzeczywistości, ale w warunkach naszego poznania. Dwojakie są warunki poznania, ale z tego nie wynika, ażeby rzeczywistość była dwoistą w swej istocie. To, co poznajemy za pomocą zmysłów, jako materyę, może być tylko pierwszą fazą rozwoju rzeczywistości, to zaś, co dzięki wewnętrznemu postrzeganiu znamy, jako duszę, ale duszę, związaną z materyą, może być, jeżeli nie ostatnią, to przynajmniej wyższą fazą rozwoju rzeczywistości. Że obie te fazy rozwojowe muszą zostawać z sobą w przyczynowym stosunku, zbytecznem byłoby dowodzić. Dlatego, że nie umiemy pogodzić z sobą naszych pojęć, nie mamy prawa jeszcze utrzymywać, że i między rzeczami, przez te pojęcia oznaczonemi, taka sama niezgodność panuje. Jak powyżej nadmieniłem, nasze pojęcia abstrakcyjne są symbolami, które uwydatniając różnice, zachodzące między zjawiskami, służą nam tylko do tego, ażebyśmy mogli zoryentować się w nieskończonej ich mnogości. Co się zaś tyczy ich stosunków wzajemnych, to dla ich zbadania musimy na nich samych się oprzeć, w nich bezpośrednio dopatrując się, jak daleco ich następstwo po sobie lub współbytność jest stała i niezmienna w takich samych okolicznościach.

Pomijając już pierwsze pojawienie się świadomości, gdyż o jej początku tak samo, jako i o początku życia, nic zgoła powiedzieć nie możemy, gdyż nie znamy warunków, wśród których one objawiły się, a ograniczając się do samych objawów świadomości, do jej zmian, musimy zgodzić się, że są one bezpośrednim skutkiem zmian, jakie zachodzą w procesach materyi mózgowej, powstających pod wpływem bądź wrażeń zewnętrznych, wywieranych przez świat przedmiotowy na nasze zmysły, bądź wrażeń wewnętrznych, mających swe źródło w procesach życiowych cielesnego organizmu. Świadomość nie jest czemś oddzielnem od organizmu, czemś, coby samodzielnie mogło rozpoczynać jakieś działanie. Objawia się ona wtedy tylko, gdy dane są po temu konieczne warunki materyalne — i każda jej zmiana następuje wskutek zmian, w tych warunkach zachodzących. Że nie możemy wykazać równoważności zmian świadomości ze zmianami fizyologicznemi, pochodzi stąd, że nie znamy wszystkich warunków, jakie wogóle są niezbędne dla objawienia się świadomości, a zwłaszcza dla jej zmian. Zresztą, wiedząc nawet o nich coś więcej nad to, co wiemy, wyszukiwanie równoważników fizyologicznych dla każdej sprawy duchowej byłoby płonnem z powodu, że do zjawisk duchowych kategorya ilości nie daje się zastosować z wymaganą w tym wypadku ścisłością.

Opierając się na niektórych wyrażeniach i zdaniach autora, można przypuścić, że nie jest on zbyt dalekim od powyższych zapatrywań, że jeżeli nie wypowiada ich wyraźnie, to dlatego, że trzymając się gruntu doświadczalnego, unika wszelkiego dogmatyzowania, zapuszczania się w spekulacyjne wywody i poprzestaje na zaznaczeniu tego, co faktycznie jest stwierdzonem, ale teoretycznie nie zostało jeszcze wyjaśnionem. Stanowi to właśnie charakterystyczną cechę wykładu autora, że dotykając spornych punktów, występuje on nie jako sędzia, rozstrzygający rzecz, ale jako sprawozdawca, który pozostawia czytelnikowi zupełną swobodę wyboru i tylko, jakby nie chcąc, rzuconą mimochodem uwagą stara się na jego wybór wpłynąć, wskazać kierunek, w jakim ma on być dokonany.

W jednym z dodatków, załączonych na końcu drugiego tomu, określając swe stanowisko wobec dualizmu, materyalizmu i spirytualizmu, oświadcza się autor za monizmem, który uznaje istotną jedność rzeczywistości, materyę zaś i ducha za pojęcia czysto podmiotowe, mające swe uzasadnienie w warunkach naszego poznania. W samym wykładzie, jak to nadmieniłem powyżej, odrzuca świadomość bezwiedną, jakkolwiek przyjmuje różne stopnie jej wyrazistości, i początek świadomości uważa za fakt powszechnego rozwoju, za objaw życia, lubo objaw *sui generis*. W ten sposób wyróżnia się on stanowczo od takich monistów, jak Hartmann, Haeckel itd., dla których świadomość jest pierwiastkiem współrzędnym materyi, leżącym w podstawie każdego atomu i ożywiającym całą przyrodę.

Nad syntetyczną częścią dzieła autora, wyjaśniającą, z jakich pierwiastków częściowych powstają wszystkie sprawy umysłowe i mocą jakich praw łączą się te pierwiastki w oddzielne całości — rozwodzić się nie będę. Poprzestaję tylko na zaznaczeniu, że za podstawę całej naszej wiedzy uznaje autor doświadczenie — przedewszystkiem doświadczenie indywidualne, uwarunkowane ustrojem organicznym, odziedziczonym po przodkach, stanowiącym dziejowy dorobek przeszłych pokoleń w ich walce o byt, a następnie doświadczenie całej ludzkości, złożone w słowie żywem lub pisanem, oraz w obyczajach i w rutynie praktycznego życia. Doświadczenie indywidualne nie jest niczem więcej, tylko przystosowywaniem się jednostki do warunków przyrody i społeczeństwa.

Sprawy umysłowe, mające do czynienia ze światem konkretnym, polegają na kojarzeniu wyobrażeń przez zetknięcie się w czasie. Wyobrażenia, które w doświadczeniu wystąpiły jednocześnie lub w bezpośredniem po sobie następstwie, przypominają się w tym samym porządku. Przeciwnie, w sprawach umysłowych, dotyczących pojęć ogólnych, sądów i wniosków — główną rolę odgrywa podobieństwo. Pojęcia podobne pod jakimkolwiek względem przypominają się wzajemnie i następnie dopiero kojarzą się z sobą.

Wykład autora, o ile jest metodyczny i wyczerpujący, o tyleż jasny i zrozumiały dla każdego. Korzysta on z najnowszych badań — i pod tym względem dzieło jego musi być uznane za najlepszy podręcznik psychologii, wtajemniczający czytelnika we wszystkie zagadnienia, jakie w obecnej chwili nastręczają umysłowi badania zjawisk duchowych ze stanowiska czysto doświadczalnego

Kończąc swe uwagi nad pracą Sully'ego, muszę nadmienić, że w swej nauce o pojęciach przechyla się on nieco ku konceptualizmowi — i dlatego odróżnia wyobrażenia rodzajowe od pojęć we właściwem znaczeniu. Nie stanowi on pod tym względem wyjątku. Większość dzisiejszych psychologów podziela takie samo zapatrywanie. Czy słusznie? Można się spodziewać, że Ribot w zapowiedzianem swem dziele o pojęciach odpowie na to pytanie.

Władysław Kozłowski.

(Lwów).

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Bolesław Prus, *Faraon*, tomów 3. Warszawa, 1897.

(Dokończenie).

Talent Prusa jest nazbyt współczesnym, publicystycznym, żywotnym i osobistym, aby się nadawał do powieści historycznej w wielkim stylu. On bohaterom na każdym kroku udziela swej własnej wyobraźni i swej własnej osobowości, które nie zawsze i nie wszędzie wystarczać mogą i z tego zaczarowanego koła w żaden sposób wyskoczyć nie jest w stanie. Czując te braki, stara się nadsztukować je brawurą i poufałem obejściem się z osobami działającemi. Nie twierdzę bynajmniej, iż artysta nie ma prawa wystawiać swego „ja," i owszem, inaczej nawet być nie może. Każde dzieło sztuki jest wizyą osobistą i niczem innem. Ale to „ja" może być szerokim oceanem, w którym wszystkie formy bytu się odbijają, i wówczas wizya osobista autora jest zgodna z rzeczywistością; albo też może być lusterkiem, które odbija świat tylko w pewnych granicach A jednak artysta czuje, że po za granicami jego lusterka duchowego jest jeszcze coś, czego on *wyobraźnią* już nie chwyta, lecz tylko logicznie wyrozumować sobie może.

I wówczas zjawia się z konieczności chęć brawury, aby wykazać swą wyższość nad rzeczą niezrozumiałą i podstawianie swych własnych stanów duchowych na miejsce obcych. Gdy rozmawiacie z niższym od siebie, który was nie rozumie i czuje, iż was nie pokona, więc aby przynajmniej formalnie wspiąć się do was, ujmie was naraz za guzik, stuknie po ramieniu lub po kolanie — w ten sposób odległość wydaje się być zniesioną, ale to tylko się wydaje. W istocie rzeczy pomiędzy Prusem a jego bohaterami powstaje przepaść niczem niezapełniona. Stąd pochodzi, iż ostatecznie popsuł charakter Ramzesa. Wyobraźnia autora, strapiona nowością otoczenia, odmawia mu wprost posłuszeństwa, kilkakrotnie opada i znów się wzbija, ale w różnych kierunkach. Jedność tego charakteru jest całkiem potargana. W pierwszym tomie mieliśmy do czynienia z widmem Solskiego: jest on nietylko potwornie ambitny i odważny, jak lew, ale także „sceptykiem," człowiekiem „wielkiego rozumu," czemś w rodzaju egipskiego Alcybiadesa. Tymczasem już w drugim tomie — jak to widzieliśmy z przytoczonych poprzednio przykładów — autor każe nam mocno powątpiewać o jego sceptycyzmie i rozumie, robi zeń nader ograniczonego Maćka, a w końcu mamy już tylko zwykłego huzara, uganiającego się za dziewkami. Kapłani, którym stawiał z początku tak mężnie i rozumnie czoło, owijają go w końcu koło palca dość mizernemi sztuczkami. Ten olbrzym okazuje się żakiem. Nie jest to rozwój naturalny charakteru, lecz dwie zupełnie różne osoby. Pierwszy jest rozumny, bystry, sceptyczny, drugi ociężały głupiec i nieuk. Mamy tu mieszaninę dwu typów niezespolonych bynajmniej. Czuł to widocznie i sam autor, bo gdy w pierwszym tomie nazywa go lwem i orłem, w trzecim porównywa go już tylko do rozhukanego słonia. Albo autor miał z początku zupełnie inne zamiary względem swego bohatera, które następnie, pod wpływem fejletonowego pisania, zmienił, albo też widział go odrazu zwykłym huzarem, lecz był tylko przez pierwszy tom po

wpływem widma Solskiego i, czując to, następnie chciał uwolnić się od tej suggestyi gwałtowną zmianą frontu. Bądź co bądź, ja *tego* Ramzesa nie widzę.

Charakter Pentuera lepiej jest oddany tylko dlatego, że nie ma w sobie nic specyalnie egipskiego i pozostaje Dębickim aż do końca, bez zmiany. Tak samo lusterko Prusa jest zupełnie w porządku, gdy ma przedstawiać chłopów bitych, cierpiących i umierających z głodu — ale to są chłopi polscy, a bynajmniej nie egipscy — żołnierzy, którzy „dają w brzuch i dobrze im się dzieje," Żydów lub Fenicyan, swarzących się o grosz, niezłożone, ale apetyczne miłostki swego bohatera, raptownie doprowadzone do celu, niektóre sceny rzewności, niektóre opisy przyrody — wszystko to zdrowe, żywe, świeże jak rydz i — nawet poetyczne. Zakres talentu Prusa jest więc ściśle określony przez charakter i rozmiary jego wyobraźni, którą on tyleż naprożno starałby się zmienić, co i barwę swych oczu.

Wcale nieźle także oddany jest Herhor, którego Prus mógł malować, bodajby według wizerunku Bismarcka, i z „Faraona" wyszłaby wcale dobra powieść, gdyby przedstawiała — znacznie, rozumie się, skrócona — walkę Księcia Żelaznego z Wilhelmem II. Są to osoby, wypadki, sytuacye i zatargi, które autor mógłby oddać, jako współczesny obserwator rzeczywistości. Ale zupełnie innych warunków imaginacyi twórczej wymaga wizya Egiptu starożytnego.

Nie wiem nawet, czy autor zdał sobie dokładnie sprawę z trudności swego zadania. Wbrew przyjętym w świecie literackim mniemaniem dusza ludzka nie jest bynajmniej czemś stałem, i Egipcyanie w XI w. przed Chrystusem nie mogą być kopią Warszawiaków z XIX w. po Chrystusie. Dusza ludzka jest wytworem rasy i systemu społecznego — ona się zmienia zależnie od zmiany tych czynników. Zważywszy na to, musimy przyznać, iż np. chłop egipski z czasów, które Prus przedstawia, jest istotą niemniej tajemniczą, niż sfinks; dla autora jest to zwykły chłop polski. W większym jeszcze stopniu można powiedzieć toż samo o klasach wyższych. Między duchowością Europejczyka z naszych czasów a ówczesnego Egipcyanina istnieje różnica mniej więcej taka sama, jaka istnieje między naszem pismem jasnem i prostem a ich ciężkiem, skomplikowanem, tajemniczem, a jednak pełnem piękna hieratycznego i dekoracyjnego.

Cywilizacya, rozwijająca się w ciągu długich stuleci, w zupełnem zamknięciu, zdala od wszelkich wpływów zewnętrznych, nadała duszom egipskim — właściwościom rasowym — pewne piętno specyalne, toż samo, które widzimy w ich posągach, w ich budowlach, w ich pieśniach religijnych: dreszcz strachu, tajemniczości, melancholii, ujętych w formy trwałe i niezmienne. Ich słowo pisane, zarówno jak kamienie ich świątyń, jak gesty ich posągów posiadają tę masywną powagę, ten rytm niewzruszony i potężny, tę energię fatalizmu, ten polot prostolinijny, ale powstrzymany, które były wytworem ich rasy i ich ewolucyi społecznej. Wszystkie te rysy znajdowały się w duszy starożytnego Egipcyanina, gdyż wytwory sztuki są dokładną kopią stanów duchowych. Ta niezmącona niczem, odwieczna, zamknięta w sobie cywilizacya musiała dojść do form stałych, które nadawały wciąż ten sam kierunek wysiłkom, czynom i uczuciom, a wytworzyły nareszcie to specyalnie egipskie piękno, potężne, tajemnicze i straszne, kwiat duszy rasowej. Rysy te powtarzają się bez końca dlatego, że sama cywilizacya, która była ich źródłem, już od wieków się powtarzała. Geniusz egipski polega na powtarzaniu, na odnawianiu bez końca szeregu tych samych postaci i wyrazów. I dlatego ktokolwiek chciałby odtworzyć atmosferę społeczno-duchową starożytnych Egipcyan, musiałby naprzód przyjąć ich formę i ich styl. Tu trzebaby było długiej teoryi tajemniczych cieniów, o ruchach rytmicznych, które się przesuwają zwolna, milcząco, jak zagadkowe figury wazonów etruskich, albo też deklamując, jak bohaterowie misteryów pierwotnych. Ruchy rytmiczne i deklamacya, a nawet taniec i śpiew nie były u ludów pierwotnych — a po części i u starożytnych—niczem konwencyonalnem, one były najściślej związane z życiem samem. Były one wyrazem stanów ducha niezróżniczkowanych, gdy każda myśl wyrażała się nietylko sensem, ale zarazem intonacyą i ruchem. Człowiek pierwotny, ten artysta przyrodzony, czynił wszystko tańcząc i śpiewając. Można to dotychczas stwierdzić na ludach dzikich. Veddahowie tańczą po sutym obiedzie, po udatnem polowaniu; tańczą dla oddalenia złych duchów i przywołania dobrych. Tliptycy z Alaski oddają się uroczystym tańcom przy zbiorach malin. Niektóre plemiona północne, udając się na polowanie, odbywają taniec, w którym dramatyzują połów fok i pożeranie ich mięsa. U czerwonoskórych znajdujemy „taniec bawołów," „taniec niedźwiedzi," a także organizacye tajemne dla tańców magicznych. Dajacy z Borneo wykonywają swój taniec wojenny w maskach i zupełnem uzbrojeniu. Tańcom tym towarzyszy zwykle śpiew. Przeżytki tego rodzaju znajdujemy u wszystkich prawie ludów niehistorycznych, jako ślad stanu jeszcze bardziej pierwotnego, gdy wszystkie czyny życia związane były z poezyą. Z rozwojem cywilizacyi ruch i dźwięk zaczynają grać coraz mniejszą rolę w wyrażaniu myśli, w naszych czasach doszliśmy do zupełnego zróżniczkowania tych dziedzin, ale w cywilizacyach starożytnych, a zwłaszcza w Egipcie, pierwotna jedność zachowała się jeszcze w ruchach rytmicznych i w deklamacyi. Grały one, rozumie się, daleko mniejszą rolę w życiu codziennem, niż w misteryach i śpiewach religijnych, ale już ta okoliczność, że te ostatnie były panującą formą literacką, wskazuje stopień ewolucyi umysłowej, zupełnie różny od tego, na którym my obecnie się znajdujemy.

Zważmy nareszcie, iż w tych czasach wybujałego animizmu słowo było obdarzone mocą potężną, nadzmysłową. Słowo było dla tych ludzi istotną i jakby mechaniczną przyczyną najbardziej cudownych akcyi. Cała sztuka polegała tylko na tem, aby wiedzieć, jaki wyraz może wywołać pożądany skutek. Słowa samym dźwiękiem swym wywierały potęgę nadnaturalną. Stąd pochodzi wiara we wszechmoc zaklęcia. Natura cała była zaczarowana, pełna duchów dobroczynnych lub złowrogich, które można było ułaskawić lub zwyciężyć dobranem słowem, w którem szło nie tyle o sens, co o dźwięk. Dość było jednej fałszywej nuty, omyłki w rozmiarze, w rozkładzie dźwięków, a zaklęcie nie miało żadnego skutku. Piękno stylu ksiąg religijnych Egiptu jest niezrównane, ale ich słowa mówią nam bardzo niewiele.

Wszystkie te okoliczności wskazują nam różnice duchowe tak głębokie, których Prus zdaje się nawet nie podejrzewać, iż można się śmiało zapytać, czy powieść historyczna w rodzaju „Faraona" nie jest zwykłem nieporozumieniem, pełnem zgrzytliwych rozdźwięków. Rozumie się, księgi religijne Egiptu powstały w epoce daleko wcześniejszej, ale dusze Egipcyan z XI wieku przed Chrystusem przedstawiały niewątpliwie więcej analogii z niemi, niż z naszą literaturą współczesną. Otóż jakie prawo mamy udzielać im wszystkich metod naszej myśli dobrze zróżniczkowanej, a pod względem formy zastosowywać do nich tę brzydotę, która się nazywa powieścią realistyczną, wytwór zupełnie nowożytny? Aby oddać poczucie tajemniczości, melancholii i cudowności, które nierozłącznie się wiązało z myślą ówczesnych Egipcyan, trzebaby mieć poetę w rodzaju Poego; Flaubert byłby w stanie należycie odmalować dekoracyjną i teatralną stronę ich życia, a także filozoficzne subtelności ich myśli. Nareszcie śród współczesnych artystów jeden tylko być może d'Annunzio byłby w stanie nadać formę należytą utworowi w rodzaju „Faraona." Proszę przeczytać w jego „Vergini della rocce" opis zstępowania ze schodów bohatera w towarzystwie trzech muz i ich ojca, a następnie otwarcia wodotrysku — to stanowczo teorya rytmicznie posuwających się osób, gdzie każdy ruch i fałdy szerokich odzieży znajdują się w najściślejszej harmonii z odcieniami wypowiadanych myśli — żywa płaskorzeźba, pełna pogody i ciszy greckiej. One schodzą z tych schodów wieczność całą, stoją na miejscu, a jednak posuwają się wraz z rytmem płynącej myśli. Otóż faraonowie i kapłani egipscy powinni przesuwać się przed nami taką właśnie senną teoryą o ruchach poważnych i skomplikowanych, któreby były zastosowane do ich myśli, zupełnie tak samo, jak są do niej zastosowane znaki ich hieroglifów. Tylko takie współpracownictwo Poego, Flauberta i d'Annunzia mogłoby wydać dzieło godne „Faraona." W utworze natomiast Prusa wszystko nas razi. I ten książę, który miał być Alcybiadesem, a jest masztalerzem, o popędach, które można było uratować wyrafinowaniem, a które cuchną kordegardą, i ten Pentuer-Dębicki, wypowiadający poglądy warszawskiej chłopomanii, i ci kapłani, orzekający językiem wcale nie wyroczniowym najzwyklejsze dzieciństwa i banalności, i ten lud, i ta forma trywialna powieści mieszczańskiej, i ta akcya, posuwająca się ospale w pierwszych dwu tomach, to znowu pędząca kłusem w trzecim, i wszystko i wszystko.

Murzyn, przy ciemnej barwie skóry, ma podeszwy i dłonie bronzowe. „Kiedy antropolog Blumenbach — powiada Tylor — widział Kemble'a, grającego Otella (charakteryzowanego jak zwykle, a więc z ciemną twarzą i w czarnych rękawiczkach, aby wyglądać jak murzyn) skarżył się, że całe złudzenie prysło, gdy artysta otworzył rękę."

Otóż Prus w swej powieści robi wszystko, co można, abyśmy ani na chwilę nie mogli pozostawać pod czarem złudzenia. Po co np. te częste odsyłacze autora, potwierdzające, iż niektóre odpowiedzi osób działających są „autentyczne"? A więc inne niemi nie są — wpada mi na myśl. A ja, naiwny, wyobrażałem sobie, że wszystkie te rozmowy są autentyczne. Dalibóg, gdy czytam dobry utwór wyobraźni, ani na chwilę przez głowę mi nie przejdzie, iż wszystko to może być zakwestyonowane — nietylko rozmowy lub czyny bohaterów, ale najdrobniejszy chociażby szczegół ich odzieży: ja we wszystko to wierzę, bo gdybym na chwilę przestał wierzyć, przestałbym czytać. Literatura i sztuka są kłamstwem, które istnieć może tylko dzięki wspólnej winie czytelnika i autora: mogą oni spoglądać na siebie z uśmiechem augurów w życiu codziennem, ale przybierają nastrój poważny, gdy przystępują do misteryum, które ma przed nimi się odegrać. Otóż Prus stara się, aby od samego początku żadnych nieporozumień być nie mogło, on od samego wstępu uprzedza nas, iż to nie misteryum, które ma poruszyć wszystkie źródła naszej idealizacyi, iż to nie sen złoty, nie legenda tęczowa, lecz malowane kulisy. Przedstawmy sobie, iż ze skrawka zniszczonego obrazu Leonarda da Vinci artysta współczesny chciałby zrobić utwór

pierwotny. Dosztukował, dopełnił jako tako i następnie dla oznaczenia części należącej do Leonarda okrążył ją, na zielonem tle całego obrazu, niebieską obwódką. Należało dostroić powieść do ustępów z hymnów egipskich tak, aby najwprawniejsze oko odróżnić ich nie było w stanie. Otóż w powieści Prusa najmniej wprawne oko różnicę tę spostrzega i autor niepotrzebnie tylko ją jeszcze podkreśla.

Muza Prusa jest sobie zdrową, jędrną dziewczyną, w zgrzebnej, czystej koszuli, zapiętej wcale nie pod szyję — o, nie! — dużym blaszanym guzikiem, gadatliwą i nader ludzką. Czemużby jednak nie było rzeczą ciekawą wiedzieć, jak ta Muza spogląda na Egipt i jego dzieje? Zwłaszcza, że zwykła publika bynajmniej nie jest urażona widokiem Otella w czarnych rękawiczkach, a cóż dopiero wszystkiemi usterkami „Faraona." I nie mielibyśmy nic przeciw takiemu traktowaniu rzeczy, gdyby ono nam nie psuło tej czarownej i delikatnej wizyi, którą poczya skądinad wytworzyła, Egiptu jakby pogrążonego w letargu milczenia pod mistyczną strażą sennych sfinsów, Egiptu, który wydaje się być tajemniczą, melancholijną i straszną procesyą o pozach emblomatycznych i ceremonialnych, powtarzających się bez końca i raz na zawsze ustanowionych nieubłaganym rytuałem. Przewodniczy jej Faraon znieruchomiały w geście panowania, podobny do własnych swych posągów z bazaltu. Wszystko tu tchnie jakąś spokojną rozpaczą nieożywionej materyi, wielkich mas i mrocznych fatalizmów, wobec których jednostka ludzka czuje się niczem. Wobec Egiptu czuć można tylko strach, podziw, znużenie, wreszcie całą gamę wrażeń, którą wzbudzają w nas rzeczy prawie absolutne i nieludzkie. Stara, jak świat pustynia zostawiła na nim swój ślad niezatarty wiekuistego spokoju i głuchego milczenia. Żaden naród nie przemawiał i nie myślał w sposób bardziej uroczysty i wzniosły o śmierci, która była główną troską Egiptu.

Rubaszny, publicystyczny i humanitarny temperament Prusa jak najmniej nadawał się do odtworzenia tej wizyi. Wszędzie, gdzie autor starał się to uczynić, jest nieznośnie nudny. Trzeci tom, najlepszy ze wszystkich, jest najmniej egipski. Gdyby autor skrócił swe dzieło do połowy — jeżeli tak dalej pójdzie, to Prus wkrótce będzie jednym z najbieglejszych wielopisów w Europie—i, po odpowiednich zmianach, zatytułował „Wilhelm II," mielibyśmy powieść wcale ładną. Ale nawet w obecnej postaci nie ustępuje ona powieściom egipskim Ebersa, które także nie wiele są warte, być może dlatego, iż romans historyczny jest wogóle gatunkiem literackim fałszywym.

Dr. L. W.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

POEZYA. L. Leszczyński: *Srebrne noce* (97 str.), Wiedeń, Bondy.

— *Hymny* (52 str.), Wiedeń, Bondy.

— J. Żuławski: *Intermezzo* (119 str.), Kraków.

— Z. Witmir: *Pierwiosnki* (53 str.).

— Nadson: *Wybór poezyi*, przeł. M. Zaruski (127 str.), Archangielsk.

JEDNODNIÓWKA. „Pamięci profesorów i kolegów b. Szkoły sztuk pięknych z wydziału malarstwa i rzeźby, z r. 1847" (30 str).

POWIEŚĆ. W. Reymont: *Spotkanie*, szkice i obrazki (367 str.). Gebethner i Wolff.

WYDAWNICTWA POPULARNE. H. Orsza: „Kto był Mickiewicz?" (44 str., kop. 5)

NAUKA. W. Ostwald: „Krytyka materyalizmu naukowego," odczyt miany na zjeździe lekarzy i przyrodników niemieckich w Lubece, przeł. Z. S. (32 str.).

— A. Krasnowolski: *Systematyczna składnia języka polskiego* (319 str., rs. 1). Wydanie z zapomogi Kasy Mianowskiego. E. Wende.

WYDAWNICTWA ZESZYTOWE. „Dziejów powszechnych ilustrowanych," wyszły zesz. 148—157 — „Encyklopedyi rolniczej" z. 68 (Myszy).

W DALI.

Piotrków. Spis jednodniowy wykazał, iż miasto z wojskiem i mieszkańcami więzienia liczy 31,000. — Korespondent *Słowa* poruszył bardzo żywotną sprawę krótkoterminowego kredytu hypotecznego: Szafarzami jego w danem mieście lub okolicy są przeważnie nieliczni kapitaliści, związani w rodzaj syndykatu i nakładający warunki, oraz odsetki wedle swej woli, niczem nieograniczonej. Właściciele nieruchomości miejskich, raz wpadłszy w sieć lichwiarzy hypotecznych, prawie nigdy wydobyć się z niej nie mogą, jeśli nie przyjdzie im w pomoc wypadek w postaci nieoczekiwanej sukcesyi lub wygranej na loteryi. „Nawet miasta, ogniskujące w sobie większy ruch, a tem samem mające podstawy rozwoju, uginają się pod brzemieniem gniotących je długów hypotecznych, posuwając się nader wolno naprzód i w odwrotnym stosunku do swych potrzeb. Następstwem takiego stanu rzeczy są mieszkania drogie niepomiernie, a stan ich, wartość wewnętrzna i wygody nie odpowiadają najskromniejszym wymaganiom wcale nienawykłego do komfortu mieszkańca prowincyi. W Tomaszowie Rawskim z 500 nieruchomości, oszacowanych do ubezpieczenia gubernialnego wzajemnego na sumę 2,300,000 rs., a ubezpieczonych na 1,200,000 rs., połowa, posiadająca hypoteki w Brzezinach, obarczoną jest długiem hypotecznym 2,297,419 rs. na 8%—12%. Gorzej jeszcze dzieje się w Częstochowie lub Sosnowicach. Tam bowiem kapitał znajduje bardzo łatwo zyskowną i krótkoterminową lokatę i niechętnie wchodzi na hypotekę nawet dobrą. Wskutek tego średni procent od sum hypotecznych wynosi w tych miejscowościach od 12% do 15%. „Niedawno na hypotekę jednego domu w Sosnowicach, wartości 150,000 rs. poszukiwano 30,000 rs. na pierwszy numer i podobno do dziś dnia sumy tej nie znaleziono." Jedynem lekarstwem na usunięcie takiego stanu rzeczy byłyby Towarzystwa kredytowe miejskie, z których dobrodziejstw korzysta już kilka miast. Lecz nie wszystkie miasta prowincyonalne są tak rozległe i zamożne, aby instytucye podobne utrzymać u siebie mogły. Z drugiej znów strony mnożenie samodzielnych Towarzystw kredytowych przez różnorodność tego rodzaju papierów procentowych, opartych na różnej wartości realnościach miejskich, mogłoby mieć ujemny wpływ na kurs listów zastawnych. „Ale stowarzyszenie miast w grupy gubernialne ma przyszłość i stanowczo zadość czyni potrzebie; te bowiem warunki ujemne, które przedstawia jedno z miast stowarzyszonych, równoważyłyby się dodatnimi warunkami miast innych. Że same miasta rozumieją dobrze stan rzeczy, dowodem starania rozpoczęte przez Tomaszów i Będzin o przyłączenie ich do Towarzystwa kredytowego piotrkowskiego. Inne miasta gubernii wkrótce pójdą za ich przykładem."

Odesa. Wielkie wrażenie w mieście i okolicy wywołał fakt fanatyzmu sekciarzy, zwanych „bezpopowcami." Kilkanaście osób z ich grona kazało się zamurować, a częścią żywcem zakopać. Zdarzyło się to w odeskim okręgu sądowym. Dla sprawdzenia wypadku i stosownych zarządzeń, wydelegowano ober-prokuratora senatu, p. Słuczewskiego. W towarzystwie prokuratora odeskiej Izby sądowej, p. Wittego, prokuratora sądu okręgowego, p. Lewczenko, i innych przedstawicieli władz zwiedził on miejsca tego charakterystycznego samobójstwa, którego akcesorya w ten sposób opisują *Nowosti*: W trzynastu celach obecnie niema nikogo. Miejsce, w którem żywcem pochowano 9 fanatyków, jest całkiem nietknięte, ale miejsce, a raczej nora, w której byli pogrzebani: główna winowajczyni Witalia, staruszka Kowalewa, niemy jej syn Dymitr i trzy inne mniszki pustelniczki, odkryte jest od góry. Nora ta o dwu arszynach długości i półtora szerokości, z podkopem dla głów nieboszczyków widzianą jest z powierzchni ziemi. W domu Jermołaja Teodor Kowalew zasypał wprost ziemią siostrę Doninę Kowalewą, staruszkę Suchową i dwie mniszki. Dom ten odległy jest od pustelni kowalewskiej o $^3/_4$ wiorsty. W domu Suchowa, w miejscu bocznem zamurowano żywcem 6 osób: E. Suchowa z żoną i dwojgiem dzieci i dwie inne osoby. Dom ten odległy jest od pustelni $1\frac{1}{2}$ wiorsty. Nie ulega wątpliwości, że był tam główny dom modlitwy sekciarzy, pod którego węgłem od strony piwnicy zrobiono norę dla pochowania żywcem głównych działaczów pustelni, Witalii i innych. Sprawa się toczy, ale napotyka wielkie trudności, bo aresztowani nie chcą czynić żadnych zeznań, ani też przyjmować pokarmów.

Petersburg. W departamencie spraw kolejowych, pod prezydencyą dyrektora Maksimowa, otwarto zjazd przedstawicieli przemysłu żelaznego i kolei w celu przejrzenia taryf na przewóz wyrobów z powyższej dziedziny produkcyi. Przedstawiciel fabrykantów południowych oświadczył, że w celu zapobieżenia przywozowi żelaza z zagranicy, byłoby pożądanem podwyższenie taryf na znaczne odległości od granicy do okręgu południowego i zniżenie jej na małe odległości. Przeciwko temu twierdzeniu wystąpili gorąco przedstawiciele fabrykantów z Uralu i okręgu zachodniego. Dowodzą oni, że przywóz żelaza zagranicznego zależy nie od popierania za pomocą taryf kolejowych, lecz jedynie od tego, iż zakłady południowe, mając zabezpieczone korzystne zamówienia na szyny, nie zajmują się wyrobem „gatunków handlowych" żelaza. Skoro zaś powstaną fabryki specyalne, żelazo zagraniczne nie będzie miało wstępu.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W Wilnie powstanie Towarzystwo zachęty pracy zawodowej, którego celem będzie popieranie przemysłu rzemieślniczego, wykształcenia fachowego i urządzanie warsztatów wzorowych bezpłatnych.

— W Brześciu rozpoczęto budowę szpitala dla urzędników i oficyalistów, pracujących na kolejach, które tam się krzyżują.

— Rada miejska w Paryżu uchwaliła nazwać jeden z placów w dzielnicy Passy placem Chopina. W parku Monceau wyznaczono już miejsce na pomnik, który wykona p. Jakób Froment-Meurice.

— *Peterb. Wied.* piszą, iż w sprawach zawiązywania w Królestwie Polskiem towarzystw wzajemnego ubezpieczenia, pomocy wzajemnej i dobroczynnych, decydować ma obecnie już nie komitet ministrów, lecz generał-gubernator warszawski po porozumieniu z ministeryum spraw wewnętrznych. O zawiązywaniu kas pożyczkowo-oszczędnościowych, emerytalnych, szpitalnych, towarzystw wzajemnej pomocy robotników górniczych w całem państwie decyduje minister rolnictwa.

— Ze Lwowa donoszą, iż w Schodnicy wybuchły zaburzenia antisemickie. Żandarmerya zabiła jednego z wichrzycieli; wielu raniła.

— Z Tryestu telegrafują, iż pomiędzy robotnikami włoskimi a niemieckimi w kuźnicach pod Serwolą przyszło do gwałtownych starć. Po obu stronach jest wielu rannych.

— W Krakowie zawiązało się Towarzystwo budowy tanich mieszkań dla rękodzielników.

— Na budowę pomnika dla Artura Grottgera w Krakowie miejscowi artyści malarze i rzeźbiarze zebrali dotąd 2,215 złr. Pomnik ma stanąć przed przyszłym nowym gmachem Towarzystwa sztuk pięknych od strony plantacyj.

— D. 2 lipca r. b. w Syberyi będą otwarte nowe instytucye sądowe, według ustawy Cesarza Aleksandra II.

Szkoły. Od przyszłego roku szkolnego mają być wprowadzone nowe przepisy co do obrony rozpraw na stopień magistra i doktora.

— *Zorza* zwraca uwagę na ogromnie wzrastające koszty kształcenia dzieci w niektórych miastach gubernialnych, skutkiem czego stopniowo stracili wstęp do szkół synowie kolonistów, włościan i szlachty zagrodowej w gub. Łomżyńskiej i Siedleckiej

Przed ćwierćwiekiem koszt utrzymania ucznia w Łomży nie przewyższał 100 rs.; w tej sumie 70 rs. szło na utrzymanie, 20 na wpisowe i 10 na książki. Dziś koszty potrójne zamykają szkoły średnie dla dziatwy niezamożnej.

— Do Instytutu lekarskiego dla kobiet w Petersburgu zgłosiło się już tyle kandydatek, że prawdopodobnie 20% nie będzie przyjętych.

— Z powodu przepełnienia gimnazyum żeńskiego w Żytomierzu, otwarte będą klasy równoległe.

— W Odesie staraniem artystów powstaje Akademia sztuk pięknych.

— Gimnazyum polskie w Cieszynie otrzyma wkrótce prawa szkoły państwowej.

— Egzaminy na wszystkich wydziałach uniwersytetu warszawskiego ukończone będą 15 b. m. Ferye letnie trwać będą do 15 września.

— Prośby o przyjęcie nowych kandydatów do szkoły średniej mechaniczno-technicznej w Warszawie można składać od 13 sierpnia.

Konkurs. Towarzystwo sztuk pięknych uchwaliło na r. 1898 konkurs na dzieła z zakresu malarstwa i rzeźby, który otwarty będzie od 1 lutego do 15 marca. Do konkursu nadają się: z zakresu malarstwa — obrazy olejne, akwarele, pastele, kartony i rysunki; z zakresu rzeźby: wszelkiego rodzaju dzieła rzeźbiarstwa, snycerstwa i medalierstwa. Mogą być przyjęte dzieła, wykonane w ciągu ostatnich lat trzech. Należy je nadsyłać najpóźniej do 15 stycznia r. p. do godz. 3 po południu. Za dzieła wyróżnione sąd konkursowy przyznawać będzie nagrody pieniężne i listy pochwalne. Pierwsze wyznacza ze swoich funduszów: dla działu malarstwa trzy: rs. 400, 200 i 100; dla rzeźbiarstwa dwie: rs. 400 i 200.

Wystawy i zjazdy. W Lipsku otwarto wystawę sasko-turyńską, która daje obraz wielkiego przemysłu Saksonii i Turyngii.

Prasa. Z powodu szkodliwego kierunku pisma *Chozjain*, ujawnionego w artykułach „Ziemstwo twerskie" i „Przegląd gospodarstwa wiejskiego," minister spraw wewnętrznych polecił ogłosić trzecie ostrzeżenie temu pismu, wraz z zawieszeniem wydawnictwa na dwa tygodnie.

Wypadki. Z Voiron w departamencie Isère donoszą, że trąba wodna zburzyła tam wiele fabryk papieru, jedwabiu i płótna. Straty obliczają na 10 milionów. Cztery tysiące robotników pozostało bez chleba.

— W licznych miejscowościach Austryi i Węgier powódź poczyniła znaczne szkody.

— Na pograniczu pruskiem pod Katowicami (na Szląsku Górnym) woda zalała szpital fabryczny i wiele domów. Szkody wynoszą około dwu milionów marek.

Zmarli. Dr. Fryderyk Muller, znakomity przyrodnik, zmarł w Brazylii, gdzie się oddawał badaniom geologicznym i botanicznym.

Odpowiedzi Redakcyi.

A. H. O ile nam wiadomo, dziełko Ekhardta nie jest przełożone na język polski.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 30 Мая 1897 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.